

Andrzej Górny

Demokracja – wynalazek człowieka?

Nie wymyśliłoby walki o władzę. To domena przyrody; nawet drzewa i rośliny, rosnąc w górę ścigają się w milczącym boju o jak najwięcej światła. Wygląda na to, że w procesie dziejów człowiek swoją bezwzględność w zdobywaniu władzy i jej sprawowaniu chce jednak powściągać czy wręcz nad nią zapanować. Już to, że skończyło się na „zimnej wojnie”, a nie „gorącej”, choć palec był tuż, tuż przy „guziku”, było jakimś sygnałem; także na plus, jeśli pamiętamy, jak bardzo inaczej podobne zwarcia kończyły się w historii. Stąd pytanie, czy w warunkach demokracji praktyka człowieczego rządzenia ma większe szanse zaistnienia i realnego decydowania o sytuacji politycznej. Frayn pokusił się o badanie wynalazku demokracji na przykładzie Republiki Federalnej Niemiec, kiedy rządy obejmuje Willy Brandt ze swoją ekipą. Wbrew „zimnej wojnie” Kanclerz Niemiec Zachodnich szukał porozumienia ponad tym, co dzieliło Zachód od Wschodu, a w szczególności dwa państwa niemieckie RFN i NRD. To była jego wielka misja, zaprzeczyć kataklizmowi II Wojny Światowej, że nie musi się powtórzyć.

A więc iść koniecznie do porozumienia, chociaż szans niewiele. Iść, nawet za cenę swej milczącej zgody na skryte wyrachowanie i cynizm drugiej strony, która nie będąc w istocie wolnym, demokratycznym państwem, może mieć swoje utajnione cele, choć dla swoich obywateli i całego świata staje się oto partnerem demokratycznego państwa. Przyjmując otwartą postawę wobec strony nie dającej się w pełni rozpoznać co do politycznych intencji, strona demokratyczna skazuje się najpierw na trudne wypracowywanie zgody u siebie. A w warunkach demokratycznych to nic innego jak ciężka walka o tę zgodę na podjęcie politycznego ryzyka. Ścierają się więc różne opcje krytyczne i nie obędzie się bez nieustających kolizji i zwańc polityków. Tym bardziej, że ekipa Brandta to bardzo zróżnicowane rodowody życiowe i polityczne, gdzie każdy ma swoje obliczenie. Obok Wehnera, byłego komunisty sprzed 1939 roku, jest także były żołnierz Wehrmachtu. Z kolei numer Jeden ekipy, Brandt, władzy Hitlera nad sobą w ogóle nie doświadczał, co w pewnym momencie wydaje się sugerować, że brak tego doświadczenia mógłby być w okolicznościach mniej dla niego sprzyjających traktowany jako znaczący niedostatek.

Aktorzy dokumentują wprawdzie wierność swych postaci dla Numeru Jeden, ale charakterologiczna agresywność tegoż Wehnera (Piotr Kaźmier-



czak) daje o sobie znać, a przyczajenie Schmidta, ewentualnego następcy Brandta (Andrzej Szubski) też swoje znaczy. Nawet Ehmke (Jakub Papuga) monotonią swego bezwzględnego szeregowania załatwianych spraw budzi pytanie, czym za chwilę zaskoczy i w kogo to uderzy. Reżyser już w początkowej części przedstawienia buduje celny obraz sceniczny, który w ekspresyjnym skrócie, wręcz metaforycznym, przedstawia owo dzianie się polityki na gorąco, niczym gotowanie stawy, kiedy można się okropnie poparzyć i pokaleczyć na całe życie. (Uświadomiłem sobie wtedy, jak świetnie trafia Teatr premierą, akurat, kiedy zaczyna się u nas sezon wyborczy!) Oto przy nieforemnym stole rządzącej ekipy pojawiają się długie kije bilardowe. Zaczyna, oczywiście, najbardziej agresywny Wehner, mamy wrażenie, że będzie chciał nim klucz. Ale to jest zaraźliwe. Wydaje się już po chwili, że głowy wszystkich uczestników, to kule bilardowe, w które będzie się trafiać i wzajemnie do siebie nimi strzelać. Gra staje się popisem gimnastyczno-akrobatycznym na stole i wokół, gdzie każdy chce się za wszelką cenę przekonać, czy przewalczy tych

drugich do swego. Ale to, o co chodzi, wspólny namysł nad problemem – w kotłowaniu

się zatracą.

W tej sytuacji o jedności demokratycznego działania i jego skuteczności zadecyduje narzucająca się osobność Brandta jako człowieka, co przekonująco akcentuje na naszych oczach Michał Kaleta. Ta jego osobność, to nie emanująca z postaci witalność, ani wyjątkowa siła jego intelektualnego argumentowania, lecz samo poczucie misji, moc jego wewnętrznego przekonania, czym, rzecz by można, został niejako obdarowany, a jest to po prostu tajemnica człowieka, skądinąd skazanego na różne dolegliwości zdrowotne, a także i namiętność typowo męską – kobiety. Kaleta swoim aktorstwem wskazuje nam, że jedynie misja polityczna, jakiej Brandt się oddaje, czyni go tak silnym i konsekwentnym w swym dążeniu. Jedynie ona. On wie, że nic innego nie uzasadni tego, że jest Numerem Jeden w państwie. Jego działania nie bardzo udane w sferze gospodarczej to potwierdzały. A jednak w chwili kiedy kłęczy pod Pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie, a właściwie w momencie, kiedy już wstaje z kolan, widzimy wreszcie w półobrocie jego twarz w świetle – twarz człowieka zaskoczono sobą, co właściwie zrobił. Jakby nie wiedział nagle, skąd ten jego gest pokory, prośby o przebaczenie. Bo on tylko wypełniał posłusznie to, co należało, czym chwila pod pomnikiem tak mocno mu zaciążyła. Więc czy naprawdę to wyłącznie jego własny gest i niczego w tym więcej, na żaden inny użytek? A jeśli jest coś więcej, to należy już do innych, od nich tylko zależy, jak to zobaczyli – odczytali, a może i więcej?

Podążając drogą zapisaną przez autora, reżyser prowadzi nas także coraz głębiej w relację Brandta z jego sekretarzem Günterem Guillaume (Przemysław Chojęta), także szpiegiem enerdownskim. Relacja ta jest niezwykle ciekawie poprowadzona przez obu aktorów. Z jednej strony dotarcie służb wywiadowczych NRD tak wysoko, do samego szczytu władzy, wydaje się być sukcesem ogromnym. Z drugiej – dla Guillaume oznaczało to zbliżenie, wręcz bliskość z wyjątkową osobowością Brandta; dawało możliwość poznania jego istotnych motywacji, a więc szczerości i prawdy w polityce, czemu Brandt starał się być wierny. To mimowiednie oddziaływanie zmieniało osobisty stosunek Guillaume do Brandta, z początku tylko niezwykle cennego obiektu jego wywiadowczej inwigilacji.

Z wolna Brandt stawał się dla niego – jak wyznawał prowadzącemu go Kretschmannowi (Piotr B. Dąbrowski) – równie ważny jak jego szef we Wschodnim Berlinie, który wykreował go do tak poważnego zadania. Im dłużej był tak blisko przy Brandcie, bardzo chciał, żeby Kanclerzowi się powiodło to, co planował. Kiedy uświadamia sobie, co to zaczyna znaczyć, widzimy jak pęka mu cały dotychczasowy wewnętrzny porządek świata, z którym stanął do zadania, by szpiegować Brandta. Kiedy pojawiają się pierwsze oznaki możliwej dekonspiracji, silne staje się pragnienie, ażeby wyznać Brandtowi, jak bardzo go ceni i szanuje za jego pracę. Chciałby przyznać się do swej rzeczywistej roli przy nim; być tym pierwszym, który mu o tym powie, a nie żeby Brandt przeczytał o tym w gazetach, Narosło w nim jakieś ogromne zobowiązanie wobec Brandta. A kiedy później zorientował się, że Brandt już domyśla się jego podwójnej przy nim roli, a jednak nie podejmuje żadnych kroków przeciwko niemu – świadomość tego Guil-

laume obezwładnia. Nie rozumie Brandta, czemu nie robi tego, co oczywiste. On sam szansy nie wykorzystuje i nie ucieka, choć prowadzący go Kretschmann o tej możliwości mu przypomina.

Niepojęta bierność, może wyrozumiałość, czy wręcz skryte swoiste ostrzeżenie – bo i tak mógł w końcu rozumieć swoją dziwną rozmowę z Brandtem o szpiegowaniu, prowadzoną w warunkach rodzinnych wakacji Kanclerza – absolutnie go sparaliżowała. Można powiedzieć, że poczuł się wobec Brandta podwójnie winny, pozbawiony nagle wszelkich argumentów jako człowiek wobec drugiego człowieka, którego teraz bardzo cenił, wbrew temu, jaka była przy nim jego rzeczywista rola. Stąd poczucie osobistej, życiowej klęski staje się istotniejsze, niż możliwa jeszcze ciągle ucieczka przed aresztowaniem i wieloletnim więzieniem. Nie zdaje sobie jednak sprawy, że bierność Brandta może wynikać również ze świadomości własnej życiowej klęski. Bo przecież Brandt musiał zrozumieć od razu, że całe jego życie a więc i to najbardziej osobiste, skryte przed cudzą wiedzą – a związane z jego namiętnością – podlegało inwigilacji, co teraz znaczyło, że wisi mu nad głową kompromitacja jako człowieka. Poczucie osobistej życiowej klęski uderza więc ich obu. Stąd szczególnie i charakterystyczna bierność ich wobec sytuacji w jakiej się znaleźli. Dodam, że obaj aktorzy, Kaleta i Chojęta, zagrali z wielkim wyczuciem sensu ich sytuacji w tej końcowej części. Dzięki temu gra znaczeń tego, co między nimi nie zostało w słowach nigdy wypowiedziane, ma szansę by jednak do nas dotrzeć.

I jeszcze o samym zakończeniu, bo ono daje dużo do myślenia, jak możemy patrzeć na władzę. W demokracji nie musi być wielkiego dramatu, kiedy rządzący Numer Jeden podaje się do dymisji z własnej woli, nawet tak bardzo zasłużony dla kraju jak Willy Brandt. W poznańskim przedstawieniu nie daje się więc jemu szansy na żaden wielki „teatr”upadku; grający go Michał Kaleta – po prostu zwyczajnie odchodzi, znika w głębi sceny, jak szary zwykły „nikt”, prawie niezauważony; jak my, zwykli ludzie, wszędzie tam, gdzie nie jesteśmy potrzebni, albo gdzie nam samym się nie podobają. Może wreszcie będzie demokracja. A więc władzę można pozbawić sacrum? Z głośnika słychać tylko wynik głosowania w Bundestagu: kanclerzem został Helmut Schmidt.

Teatr Polski w Poznaniu: „Demokracja”, Michael Frayn. Przekład: Małgorzata Semil; reżyseria: Paweł Szkotak; scenografia, kostiumy, reżyseria światła: Agata Skwarczyńska; muzyka: Krzysztof Nowikow; choreografia: Paulina Andrzejewska; multimedia; Marek Straszak; asystent reżysera, inspicjent: Magdalena Atusewicz; kierownik produkcji; Andrzej Szwaczyk.

Premiera: 26 kwietnia 2015.

Autor zaprasza na swoją stronę internetową www.andrzejgorny.pl

Edwin Morgan

Amsterdam

W jeden wieczór
galony jałowcówki,
a potem niezła balanga
w tym miłym hotelu.
Musieli zmienić pościel,
lecz nas nie wyrzucili.

Truskawki

Później już nigdy nie było
takich truskawek jak te które
jedliśmy w tamto parne popołudnie
siedząc na schodach przy
otwartych drzwiach balkonowych
zwróceniu twarzami ku sobie
kiedy ścisaliśmy twoje
kolana moimi na podołkach
trzymaliśmy niebieskie talerze
a truskawki lśniły w gorącym słońcu
maczaliśmy je w cukrze
patrząc sobie w oczy
nie spiesząc się z uczta
choć kroila się druga
puste talerze z dwoma
skrzyżowanymi widelcami
postawiliśmy na kamieniu
a ja nachyliłem się do ciebie
kochanego w tamtym powietrzu
w moich ramionach byłeś
jak porzucone dziecko
smak truskawek
z twoich chętnych ust
w mojej pamięci
odchył się znowu do tyłu
pozwól się kochać

niech słońce smaga
naszą niepamięć
wielki skwar
choć przez jedną godzinę
i letnia błyskawica
na wzgórze Kilpatrick

niech burza umyje talerze

El Ballah

W drodze na pustynię
na otwartej trzęsącej się
ciężarówce przyciśnięty do
spoconych pleców mojego
kochanego blondasa
doszedłem.

Glasgow

W tramwaju z matką –
Miałem pięć albo sześć lat -
Jakiś pijak nachylił się
i zaproponował mi sześciopensówkę.
„Jesteś grzecznym chłopaczkiem?
Pewnie, że jesteś”.
Nie byłem taki pewny.
Matka zasyczała:
„Weź, weź,
pijakiowi
nigdy się nie odmawia!”
Pamiętam, jak zgrabnie zacisnął swoją
pięść na mojej piąstce z pieniążkiem.

przełożył Andrzej Szuba

Edwin Morgan (1920-2010) – poeta i tłumacz szkocki, piszący w języku angielskim. Studia, które przerwała mu wojna, ukończył na Uniwersytecie w Glasgow w roku 1947. W latach 1940-46 służył w Korpusie Medycznym Royal Army. Wieloletni profesor Uniwersytetu w Glasgow. Autor licznych tomów wierszy i arkuszy poetyckich, tłumacz z języka włoskiego, niemieckiego, hiszpańskiego, rosyjskiego i węgierskiego. W Polsce znany z licznych publikacji prasowych i wyboru wierszy „Interferencje” (1990) w przekładzie Andrzeja Szuby.



Stanisław Szwarc

Ciekawość świata

Pierwszej książce poetyckiej Jolanty Skamarskiej – „W drodze” patronuje francuski poeta Rene Char. Motta z jego wierszy otwierają wszystkie sześć części tego tomiku. Wypadałoby więc otworzyć i tę wypowiedź jakimś cytatem z Chara. Choćby takim: „Trzeba umieścić się na zewnątrz siebie, na granicy też i w orbicie głodowych klęsk, jeżeli oczekujemy jakiejś rzeczy niezwykłej, dokonującej się tylko w nas.”

Rzeczywiście – podmiot liryczny tych wierszy często opowiada o jakiejś „onej”, dystansując się od przeżyć i uczuć bohaterki, a w wierszu otwierającym całą książkę wyraźnie sugeruje zmieniającą się perspektywę patrzenia – *czasem jestem tu, czasem tam. / bywam też pomiędzy. / a mówią: nie wkładaj palca / między drzwi, bo zabolisz*. To wyjście z siebie, spojrzenie z dystansu widać już w pierwszej części tomiku. Tylko na pierwszy rzut oka są to „wiersze jakich wiele” – o przemijaniu, jesieni (także życia), o sięganiu do czasów, gdy życie (jeszcze) było piękne.

Tym co je wyróżnia – oprócz oryginalnych przenośni i językowych gier ze składnią – jest niezwykła nutka humoru. Szukając literackiego odpowiednika, znajduję go najbliżej w miniaturowych opowiadaniach Antoniego Czechowa. Nie jest to nerwowy wisielczy śmiech, jakim czasem reagujemy na nieszczęście ani próba oswojenia śmiechem tragedii. To raczej czechowowski smutny śmiech nad tym, co nieuniknione, próba znalezienia pociechy w zgrabnym paradoksie czy nieoczekiwanym myślowym skoku. Nieco egzaltowany tytuł jesiennego nostalgicznego wiersza – „wspomnienia targają myśl” zostaje skontrowany w prozaicznej puencie – *jesienią nawet pociągi / nie trzymają się rozkładów jazdy*. Porównajmy jeszcze dwa fragmenty wiersza „zapachy poranka”. *Zaczynam dzień od kawy / rozgrzewa usta jak kiedyś / twoje pocałunki*. A już za chwilę – *strzepuję / resztki snu a zimnym prysznicem / splukuję marzenia*.

Tego rodzaju celowe tragikomiczne gry z czytelnikiem pojawiają się nawet w drugiej, najbardziej ponurej części książki, gdzie jesteśmy świadkami zamknięcia się w sobie pod naporem nieprzyjawnego świata. Wiersz „wycofanie” kończą dwa jakże skonstrastowane dwuwersy – *lubczyk niepotrzebny / a od cukru psują się zęby // zakłada gruby sweter / serce ma klamkę od środka*. Dramatyczny tytuł innego tekstu – „wiszę głową w dół” podkreśla jeszcze bardziej sarkastyczna puenta – *nie zasłaniaj widoków*.

Jeżeli tytuł jednego z wierszy – „wieczne rozmowy w środku” zabawnie się kojarzy z telewizyjnymi „Rozmowami w toku” – jednym z tych programów, które mają symulować podglądanie życia, niewątpliwie wyreżyserowanym, mającym epatować widza niezwykłościami ludzkich losów i postaw, to w wierszu mamy do czynienia z tekstem pretendującym do autentyczności. Nie sztuka bowiem napisać „mam chaos w głowie” czy bardziej lirycznie (jak mawiał Marek Kośmider), na

przykład „myśli pędzą tabunem rozchukanych rumaków”. Sztuka, aby ten stan ducha przepuścić przez zimną głowę i tak przeprowadzić poetycką symulację, by czytelnik uznał ten tekst za przejmujący autentyk.

Coś jednak trzeba z tym nieprzyjawnym światem zrobić. Liryczny podmiot najwyraźniej postanawia się z nim po stoicku pogodzić. Nie zmienia się środowisko, w którym pozostaje bohaterka tych wierszy, zmieniają się jednak jego funkcje. W „wieczornych rozmowach w środku” balkon służył do tego, by z niego pluć zgorzknieniem. Teraz *siadam na balkonie – plotę wianki /.../ oddycham // zaczynam od początku*. Wiele jest w wierszach z tej części bardzo pięknych lirycznych fraz: *spokój /.../ uczy milczenia. // nie trzeba szarpać słów*. Albo: *ienie /.../ butne zajmują całą przestrzeń wieczoru. // nie wiedzą, że to ja daję im / życie*. Znowu pojawia się specyficzny humor – *pekają wiosenne pąki, ja ze śmiechu. / w dodatku zbiłam okulary i nie trafiłam / młotkiem w głowę. /.../ pachnie dzień. / nie trzeba być wariatką, / żeby tańczyć*.

Jednak zaraz potem, w następnym wierszu kończącym tę część tomiku następują wypowiedziane bardzo serio słowa – *hoduje w sobie skrzydła / patrzę w bezmiar nieba / horyzont nie ogranicza // jestem gotowa*.

Nie brakuje w tej książce erotyków. To niełatwy, wyeksploatowany temat. O miłości można pisać, w skrajnych przypadkach, fizjologicznie albo angelologicznie. Te natomiast zwracają uwagę swoją szczególną harmonią, zrównoważeniem między fizycznym i duchowym aspektem tego pięknego uczucia. Kto chce znajdzie tam i uda, i biodra, i piersi, zawsze jednak w towarzystwie subtelnych uczuć wyrażonych ciekawym skojarzeniem, a bywa, że i żartem. *Moje piersi / to tylko dwoistość natury // mówili że Neron spalił Rzym / a przecież kochał piękno / naprawdę niewiele was różni*. Albo – *uda pięką gdy zostawiasz na nich pytania*. Piękny skrót – *dobrze mi w twoich oczach*.

Zawsze mam problem z tekstami o tzw. tematyce społecznej. Często aspirują do pouczania, potępienia, publicystyki. W wierszach Jolanty Skamarskiej nie odnajdziemy tej manieri niezbyt przystającej do poezji. Znowu przypomina się Antoni Czechow i jego smutny uśmiech pełen empatii dla pokrzywdzonych. *Żebrak pyta o zdrowie śmietniki, wyrodne matki w niedzielę zajmują skrajne ławki splamione winami, prostytutka oddaje ciało za chleb i butelkę mleka, a dziecięcy szept głodzi grzechy świata i sumienie matki*. O krzywdzicielach tu się niemal nie mówi, bo i po co. Przerazającym szeptem, który przejmuje czytelnika bardziej niż historyczny krzyk, mówi się w tych wierszach o bezradności ofiar. *Nie prosz, maleńki. / Bóg jest zbyt potężny - / nie dosłyszysz twoich słów*.

Autorka słusznie zrobiła, dzieląc swoją książkę na kilka zróżnicowanych części. Pokazała w ten sposób nie tylko własny, oryginalny język, ale i niemały zakres swojej ciekawości świata.

Jak na debiut to dużo, bardzo dużo.

Jolanta Skamarska: „W drodze”, Wyd. MINIATURA, Kraków 1914.

Jerzy Grupiński

Demona dwie ręce, nogi i usta

„*kołysz się w tobie huśtawka*” (Wydawnictwo „Kontekst”, Poznań 2014) – druga książkę Edyty Kulczak niewiele łączy z debiutancim tomikiem pt. „*Anioły nie zawsze są białe*” (2009). W redakcji, wyborze tekstów pomagał niedawno zmarły poeta Tadeusz Stirmer, cieszący się niezwykłym mirem i autorytetem w poznańskim środowisku literackim. Aż w ośmiu wierszach tego tomiku pojawia się motyw szamanki. I są to teksty kluczowe, bo otwierają publikację i zamykają ją. Odnotowujemy je także na okładce książki. W pierwszym z wierszy: *Szamanka jest / jak lekko oswojony / pies / przez uchyloną furtkę / wymyka się chyłkiem / do swoich / odwraca się po drodze / parę razy przystając / patrzy na dom*. W ostatnim zaś czytamy: *Szamanka lubi być w porządku / wobec wszystkich / odłożyła karty na najwyższą półkę / w domu / by być poza zasięgiem / by przekonać boga że nie ma nikogo / przed nim / teraz gotuje kapuśniak rozmyśla / jak go przechytryć*. Następuje tu próba jakby uwolnienia się od „czarostwa”, powrotu do normalności, ale zarazem i chęć zachowania szansy na wychylenie się huśtawki w świat pozaracjonalny, w tajemnice naszego bytu. Symboliczny kapuśniak zostanie obdarzony tą szansą: *odłożyła karty na najwyższą półkę / w domu (...) / teraz gotuje kapuśniak rozmyśla / jak go przechytryć* (***) Szamanka lubi być w porządku).

W książce często pojawia się motyw podróży, nagłego wyjazdu, ucieczki. Ale są to tylko niespełnione zapowiedzi ekskursji, przygotowania, zamiary (np. wiersz pt. „*dziewczyna*”). Jak w tytule książki Tadeusza Wyrwy – Krzyżańskiego „*Wyprawa przeciw podróży*”. Edward Balcerzan nazwał ten motyw w twórczości wspomnianego pisarza, mianem „*sadybizmu*”. Terminem tym można by określić wymowę wielu wierszy Edyty Kulczak, pojawia się w nich często stół, krzesło, dom, domek, nogi trafiające do domu. Spotykamy też obrazy wyznaczające domową przestrzeń: okno, szyba, firanka, framuga. Owocują w tej poezji motywy wahania się, niepewności, wycofywania się, zawieszony gesty... Szamanka jest krucha i delikatna, ale silna, mówi ostrymi kolorami („*sms*”), odważnie opowiada o miłości („*wiosna*”), ujawnia swego demona w tekście przypisanym pointą do tytułu książki (*mój demon ma dwie ręce / nogi i usta miękko wilgotne / od których moje usta / tracą wilgoć / mój demon pije moje łzy / od środka / opleciony kokonem mojego ciała / układa się wygodnie / palcami dotyka krwi / mocno sprawia / nie jestem / jestem / nie jestem / jestem*). Z kolei w poniższym utworze występuje kreacja niejako podwójna, bo oto stworzona bohaterka wywołuje niespodziewane sytuacje, wreszcie „*wychodzi z siebie*” w zakończeniu tekstu (*Szamanka zawiązała się / na supeł / nawet na kilka supełów / jednocześnie / właściwie skrępowała / całą siebie sobą samą / ledwie zdążyła odłożyć karty / przycisnęła je kryształem / kamień z wulkanu / choć łagodniejszy w kształcie / czuć było dziwnymi minerałami / zaprowadzi się teraz do wróżki / potem do kościoła / nie odpuści*).

PROTOKÓŁ
KULTURY

W pierwszej książce Edyty Kulczak stworzenia, które ni to bogowie, ni ludzie – są anioły. W „*kołysz się w tobie huśtawka*” autorka skupiła się na kondycji, ontologicznej prawdzie człowieka. Zostaje wreszcie i nasza mała, ludzka nadzieja – wiara: *do każdego świata dopisano jakąś bajkę obok / by można było wytrzymać* („*jak dwoje dzieci za rękę graliśmy w piłkę wielkich rozmiarów*”). Paradoks, oksymoron semantyczny, swoista dychotomia – to figury typowe dla tych wierszy: odchodzenie – przychodzenie, droga biegnąca na dwie strony, ktoś traci z oczu – ktoś zaczyna widzieć i ktoś idzie w przeciwnym kierunku. Charakterystyczny rytm wierszy, książki zatytułowanej „*kołysz się w tobie huśtawka*”. Poszczególne utwory łączą „*czarowne*” gesty, symbole, rytualne sytuacje, symboliczne obrazy i przedmioty: wąż, jabłko, droga, demon, usta, węzeł, wróżebne karty, nóż... Bohaterka książki, będąca tak często „*między*”, chętnie zapada w sen, opowiada swe przywidzenia – rzeczywistość ni z tego, ni z innego świata.

Napisana przez Edytę Kulczak książka, uważana przez poetkę za „*debiut właściwy*”, zdecydowanie wyróżnia się na tle tomików autorek będących u początków swej poetyckiej drogi. Są to wiersze zwarte, oszczędne w słowie, odpowiedzialne. Konstrukcja tekstów dynamiczna, często zaskakująca. Autorka chętnie stosuje przerzutnie. Wymowę, rozumienie kilku wierszy może ukrywa przed czytelnikiem? Trudno mi dojść do tajemnic tekstu pt. „*Suche dymowisko*” czy wiersza pt. „*Ikona*”, który w relację ziemskiej miłości, wplata ukrzyżowanie Chrystusa, a w poincie – także marzenie o skrzydłach. Przyjęcie niektórych utworów utrudniają wspomniane przerzutnie, czasem trudno zgadnąć ich funkcję („*pod greckim niebem*”, „*kram z drogimi bajkami*”). Podmiot liryczny charakteryzuje zmienność spojrzenia, zaskakująca optyka. Ten sam obraz, zjawisko oglądamy „*od środka*”, a po chwili – „*z dystansem, z zewnątrz*”. Obrazy nakładają się na siebie, ulegają deformacji, destrukcji – po to, by znowu odnaleźć się, powstać na nowo. Narracja bohaterki, daleka od epickiej linearności, rwie się, powraca, zaskakuje. Nie kończy, nie „*dopowiada*” zdań, skreśla ledwo co przyjęte relacje i proponuje nowe – równie rozedrgane, chybotliwe. Ale powyższe zdania dotyczą tylko rzeczywistości w oglądzie sensualistycznym, empirycznym. Tam gdzie do głosu dochodzi szamańska wizja, głos jest jasny, pewny siebie, nie daje pola do popisu relatywizmowi, subiektywnym sądom, zdaniom.

Nie sposób pominąć w tym kontekście i utworu bez tytułu, znacząco, miast biografii, zamieszczonego na czwartej stronie okładki. Po tylu doświadczeniach, wahaniach i skreśleniach – nagle wiersz pełen siły i nadziei: „*Szamanka nie nosi piór / jest dziewczyną na pierwszy / rzut oka pomyślisz / zwyczajną / chodzi po powierzchni świata / od wewnątrz / z boku wydawać by się mogło / do góry nogami / gdy świat odwróci się środkiem / na wierzch / ona stanie w pionie*”.

Edyta Kulczak: „*kołysz się w tobie huśtawka*”, Wydawnictwo „Kontekst”, Poznań 2014.

Skrót recenzji z „*Toposu*”, 6 (139), 2014. Dziękujemy.

Ares Chadzinikolau

Greckość

Pamięci Jannisa Ritsosa

Ta ziemia pamięta gromy Zeusa
i bieg Achillesa za toczącym się słońcem.
Rdzawa ziemia krwi i popiołu
skąd ród nasz
z gniewem Posejdona
w oczach.
Cyklopie mury i potrzaskane posągi
obok oliwnych gajów poleruje słońce,
jak kości dawnych bohaterów,
między którymi wiatr kona w jękach.

Tu nie ma wielu rozległych równin
wchłonęły je morskie fale
zamieniając w skalne pięści Itaki.
Tu okręty połamały takielunki i maszty,
a świątynie wciąż czekają na nowe ofiary
zanim wściekłość morza
zawładnie na zawsze ich światłem.

O wolności i męstwie śpiewają tu ptaki
wśród cytrusowych i migdałowych gajów,
bo lepiej chwilę patrzeć w słońce,
niż pochylać się ciągle do zranionej ziemi.
Dlatego Olimp
jak światłosnieżne ruiny
góruje nad mirtowymi lasami,
gdzie Artemida u brzegów Aliakmonu i
Piniosu
napina swój łuk.

To ziemia poetów i tułaczy
ziemia rozstań i powrotów,
gdzie wiatr hula między grzbietami
Tajgetosu i Pindosu,
a barbarzyńskie dusze roztrzaskują się
o skały Sunionu i Akritosu.
Ludzie tu bogobojni o wielkim sercu,
choć twarze mają pocięte jak deski do chleba.
Życie układają z dobrych chwil
czekając nawet na śmierć
z otwartymi ramionami
jak w tańcu.

Więc nie potrzebne fanfary
i huk armat nad grobami.
Wystarczy oliwna lampka
i błękitne niebo nad cyprysami,
a życie niech toczy się
kamieniem Syzyfa.

Stanisław Chyczyński

Interpretacja

na widmo-kręgu
tarcza koloru gruzlicy
Lanckorońska Góra
wielka jak kretowina
czarne badyle wrotyczu
wyżej nieba
wnikam w glebę leżąc
na wspak
taki obraz pokaże wam
pewien malarz
Ćwiertnia mu było

Omir Socha

Bunuel

z marszu słupników widać horyzont
pragnienia
ślinę palce pofałdowany język polski
wydaje dźwięki jakie musiała wydawać
wyrocznia
zanim stanął czas starożytności
a ludzie
pchnęli wahadło
mechanicznych zegarów
tak więc David Lynch zagubił się we własnej
świadomości
od kiedy zaczął medytować
ktoś inny kręci za niego filmy
ktoś inny układa pasjansy z gry w kości
ktoś inny na spawach rzeczywistości
trzyma obiema rękoma krzyż zdarzeń
ktoś inny pociąga za spust
pragnień
z twoich ust



PREZENTUJE

Piotr Fedorczyk

* * *

I zobaczyłem jak dziurawy jest mój czas
jak bezlitośnie nie czeka
nawet gdy na tygodnie zasypiam
pod zaspami przeczuć
I zobaczyłem jak niepohamowany jest
jak nieludzko uparcie
trwa w swej wiekuiestej ucieczce
przed mym błaganiem o chwilę

* * *

piszę spóźniony
do Ciebie list. Nie skończę go –
ciągle nie mam zakończenia
(nie myślę go z puentą).
Nie skończę go
dzisiaj. Przerywam pisanie
idę pokroić chleb, zjeść śniadanie,
do kuchni idę. Przez otwarte drzwi balkonu
wdziera się tu jesień.

Piotr Fedorczyk (1967 - 2013) urodzony
w Warszawie, poeta, redaktor, dziennikarz i copy-
writer.

Debiut książkowy: *Opowieść bez początku i końca*.
(Nowy Świat, Warszawa 1997) i e-book (*Poeci-
Polscy.pl*, Warszawa 2011).

Książka „Tramwaje na pustyni” została, staraniem
Fundacji Duży Format, wydana rok po śmierci poe-
ty.

Tramwaje na pustyni

Tramwaje zakołysały się na falach światła,
wiosna i ta słoneczna ekstaza.
W młodości łatwiej przeżywać takie
przypląwy,

z wiekiem kamienieje się z wolna.

Wieczność.

Wreszcie poczuł ją w kościach,

aorcie i wszystkich tętnicach.

Którejś nocy zbudził się przy swej kobiecie

i zdumiony zrozumiał,

że w s z y s t k o zdecydowało się już.

I będzie tak budził się co jakiś czas

bez żadnej szansy na ucieczkę

od siebie.

Tylko zegary

cyk, cyk, cyk,

zmarszczki, coraz mniej zębów,

wciąż boleśniejsze kace

i te stalowe okucia jesieni,

coraz to nowe,

kiełkujące na cmentarzach krzyże.

Wieczność.

Coraz bardziej myli się

z doczesnym przegrywaniem.

Niedzielne msze,

duszności duszy

i ta codzienna impregnacja.

Tramwaje falują,

płyną od pętli do pętli.

Gdzieś w pudełku

śpią listy z czasów bezsenności,

frenetyczne zaklęcia

i tamte słowa,

które miały odczarować świat.

10

Świat, światy, świty

podnosiły się kiedyś drżące,

iskrząc rosą, ptakiem, Bogiem,

teraz

skrzeczą o 4:50 zza szafy,

zapalają się nagle

jak światło w drugim pokoju,

gdzie nocował nieproszony gość,

marudzą

jak ciężarówka spod spożywczego,

parówki, sery, kajzerki,

autoalarm w samochodzie na raty.

Każda młodość musi zestarzeć się,

przed śmiercią spojrzeć w oczy

swemu byłemu właścicielowi,

co ślepie i głuchnie,

choruje na szarość

Królestwa Niebieskiego.

Tak kruchość ogarnia ten wszechświat

i rodzą się pustynie

i wszelkie pustynne ścierwo.

Stefan Pastuszewski

Szczęśliwy rok trzynasty

(dokończenie)

Tak, przyznaję się do alkoholizmu, a to dobrze o mnie świadczy. Najtrudniej było przyznać się przed sobą, stwierdzić, że to alkohol mną rządzi - przynajmniej podczas wpadek - a nie ja sama. Że mając okazję, nigdy nie odmawiam. Że kiedy nie mam okazji, to ją sobie stwarzam. A ja nie tylko, że przyznałam się do tej choroby przed sobą, ale i wam o tym śmiało mówię. A wy nie potraficie tego docenić, tylko na mnie co rusz wrzeszczycie. Gnoje...

A z tym 6 stycznia 2013 roku to było tak: Normalnie karmię się tym swoim niezbędnym pokarmem w piątek, może trochę jeszcze w sobotę, ale już nie w niedzielę, bo w poniedziałek muszę być trzeźwa, aby w biurze nie podpaść, bo ostatnio - na pewno z powodu tego drinkowania, nie ukrywam, było tego nieco dużo za trochę - podpadłam. Człowiek mimo wszystko po takim pijanym piątku, sobocie, bo w niedzielę staram się odparować, jest słabszy, bardziej rozkojarzony. Nawet nie wiesz, jak ja czekam na te piątki, soboty, aby się rozładować! Cały tydzień maksymalne śpięcie, mobilizacja, nerwy, a potem te dwa dni całkowitego luzu, leżenia bykiem, spania. To jest mi bardzo potrzebne do życia, inaczej bym nie dała sobie rady w tym cholernym świecie.

Tym razem w piątek nie mogłam pić, bo był u nas Januszek, uroczę dziecko, piłam więc od dwunastej w sobotę, kiedy ten staruch pojechał na działkę karmić te swoje cholerne norki. I ty się wtedy przez telefon napatoczyłeś. (Po co ty w ogóle do mnie dzwonisz?).

Chciałeś mnie koniecznie zobaczyć, a ja byłam już po jednym, dwóch, więc nie chciałam się pokazywać, bo ty zamiast mnie zrozumieć, podobnie jak ten staruch tylko na mnie krzyczysz. Wymyśliłam więc bajeczkę, że ci nie wierzę z powodu tej lafiryndy Mikulskiej, choć dobrze wiem, że nie chcesz jej widzieć, bo się nią brzydzisz, chociażby z powodu tych dziobów na twarzy, które napęcznieją się czerwienią, gdy się choć trochę zdenerwuje. Zresztą ty nie mógłbyś tak z każdą, bo ty jesteś taki delikacik, nerwus w tych sprawach. Słaby, głupi chłopaczyna...

Umówiłam się więc z tobą, aby ci nie robić przykrości, za dwie godziny, bo myślałam, że do tego czasu odparuję, a poza tym obiecałam mamie, że do niej przyjadę, a ty miałaś mnie do niej zawiadzić. Ale ten mój Kochany Pan, alkohol, tak mnie wtedy przytulił, tak ukochał, że wszystko, a szczególnie ci głupcy, którzy mnie otaczają, przestało być ważne. I znów wiedziałam WSZYSTKO. WSZYSTKO, czego wy nigdy nie zobaczycie. Zatelefonowałeś o umówionej porze, ale wiedziałam, że taką nie mogę nawet tobie, który na mój widok zawsze mięknie, się pokazać, to wyłączyłam po kilku twoich upartych dzwonkach mój telefon. A na to miałam już gotową bajeczkę że telefon włożyłam pod poduszkę i się rozładował. Prawda, że jestem genialna?

Mówisz, że to straszne, gdy kobieta pije. A co, kobieta jest gorsza? Zresztą dla ciebie na pewno jest gorsza. Ty zawsze miałeś mnie za nic, gnojku!

Chcesz prawdy, to ją masz, nie wiem, co z nią zrobisz. Nie, ty nic nie możesz z tym wszystkim zrobić, tylko ja coś mogę zrobić, bo to wszystko ode mnie zależy, ale nie chcę. Mam was wszystkim głęboko w dupie, bo wy na mnie nie zasługujecie, gnojki jedne.

A mama? Mamie jest dobrze, ciepło, nie jest głodna, no i że czasem jej jedyna córeczka do niej przyjdzie. Na obiadek czy na pogaduchy. Zresztą matki wszystko swoim dzieciom wybaczą, wszystko rozumieją.

Że mama cierpi? Co tam cierpi! To ja cierpię z waszego powodu. Nawet nie wiecie, jak wy mnie dręcycie! A swoją drogą, to wcale nie muszę poświęcać się dla starej kobiety. Mam swoje życie. Znam ludzi, którzy zmarnowali swoje życie opiekując się chorymi rodzicami lub cały czas ich słuchając. Każde pokolenie ma swoje sprawy i gdy uzależni je od innego, poprzedzającego pokolenia, to przegra. A gdy starsze pokolenie uzależni się od młodszego, gdy zacznie działać na jego rzecz? To już lepiej. Chciałabym, żeby moja mama mnie zrozumiała, moje potrzeby, moje oczekiwania. I nie traktowała mnie jak małą dziewczynkę, którą wiecznie trzeba prowadzić za rączkę. Zawsze tak mnie traktowała, więc ja - na zasadzie reakcji - wyrwałam się jej. No i teraz ma za swoje. Biedna mama...

To jej wina, że nie pozwala mi swobodnie drinkować, że rozpacza z powodu mojego alkoholizmu, że - jak mówi - czasem chce jej się wyć z mojego powodu.

Gdyby mnie zrozumiała, to by nie wyła. Matka mnie nie rozumie i nikt mnie nie rozumie.

- Nie będziesz układać mojego życia! - mówię jej, gdy znów chce mnie namówić na leczenie.

- Ale ty także układasz moje życie - odpowiada. - Dręcąc mnie.

- To się odczep! - mówię i trzaskam drzwiami.

A poza tym, gdyby cały czas nie traktowała mnie jak małą dziewczynkę, swoją słodką, bezwolną jedynaczkę, to może byłoby inaczej. Ja jestem przekorna, ja mam swoją wolę. To oni, ci moi rodzice, zmusili mnie swoją nadopiekuńczością, namolną chęcią regulowania mojego życia co do sekundy, do buntu, no i może także, albo przynajmniej po części, do alkoholizmu. Alkohol daje człowiekowi poczucie wolności. Choćby tylko na chwilę...

Tak, wydaje mi się, że już będąc nastolatką, traktowałam alkohol jako klucz do wolności. A w tamtych czasach w organizacjach młodzieżowych, które za wszelką cenę chciały być dorosłe, nie brakowało alkoholu. Bo w tamtych czasach alkohol to była dorosłość, nie tak jak dzisiaj, kiedy jest to chleb powszedni nawet dla nieco większych dzieciaków. Alkohol i narkotyki, wtedy oczywiście narkotyków nie było, choć się o nich słyszało. Cieszcie się, że nie używam jeszcze narkotyków, ale jak tak dalej pójdzie, to kto wie, kto wie...

Chcesz wymusić na mnie kontrolowane niepicie, a ja jedynie mogę obiecać - o ile oczywiście zechcę obiecać, ale chyba jednak nie zechcę - kontrolowane picie. Alkohol jest dobry. Znacznie lepszy od ciebie, głupku. Jedynie kontrolowane picie wchodzi w moim przypadku w rachubę. Nie

jestem przecież zakonnica, a poza tym – jakby to powiedzieć – nie mogę już z alkoholu zrezygnować, tak daleko zaszłam. On jest dla mnie jak tlen. Jak sztuczny tlen. Zresztą mówi się o kimś – kto jest na cyku, że jest na sztucznym tlenie. Ja tego potrzebuję. Każdy przecież czegoś innego potrzebuje. Każdy ma swój pokarm. Poza tym to drinkowanie w piątki i soboty, to nic innego jak picie kontrolowane, a nie żaden alkoholizm. Bo ja wtedy wiem, że piję i robię to całkiem świadomie. W inne dni czasem tylko wezmę szklaneczkę dobrego wina, aby szybciej zasnąć. Bo ja najbardziej lubię spać, spać i jeszcze raz spać. Wtedy nie widzę tego całego waszego cholernego świata. I was nie widzę, palanty.

Najbardziej żal mi Kasi, tej mojej najmłodszej córki, ale to też mnie nie powstrzymuje, bo to jej wina, że sobie w świat pojechała, zamiast zostać przy swojej starej matce. Wspierać ją, no i – nie ukrywajmy – także jej pilnować.

Jak widać mój alkoholizm nie jest moją winą, tylko wszystkich, całego świata, mego podłego losu, tych głupców, którzy mnie otaczają. No i oczywiście twój, palancie, gnoju.

Bo ty nie jesteś wcale tym, na którego czekałam i nadal czekam, choć wiem, że może to się nie ziścić, mogę – z uwagi na swój wiek, no i tę chorobę – nie doczekać. Ale nadzieja podobno umiera ostatnia. Według mnie jednak się ziści, bo jest rok 2013, a trzynastka jest dla mnie szczęśliwa. Nic też dziwnego, że zaczęłam Nowy Rok z moim najlepszym przyjacielem, alkoholem, Panem moim. Drinkowałam przez cały dzień, kładąc się po każdym kieliszku i śpiąc do kolejnego wybudzenia. Ci głupcy, domownicy, co rusz wyrwali mnie ze snu, ale mówiłam im: *Odczepcie się!* i znowu spałam. Nawet koncert wiedeński, który tak lubię nie był w stanie wyrwać mnie z objęć mego wspaniałego kochanka. Cudowny chłopiec, choć imię jego zostało przez ten głupi świat tak bardzo sponsonowane: *Alkohol!* Gdy słyszy się słowo *alkohol*, to od razu coś złego ciśnie się na myśl. Ale przecież alkohol jest dla ludzi. Dobrze, że ma on jeszcze inne, bardziej poetyckie imiona: *Szampan, Winiak, Żołądkowa Gorzka*, choć w tym drugim przypadku ta poezja ma trochę charakter wymiotny, zdaję sobie sprawę, bo ja z wszystkiego zdaję sobie sprawę, tylko wy o tym zupełnie nie wiecie, głupcy.

Jeszcze kilka dni, może miesięcy i nikt, żaden głupiec nie będzie już mi w życiu przeszkadzał. To WSZYSTKO. TO WSZYSTO, CO WIDZĘ się stanie. Szczęśliwy rok ze szczęśliwą trzynastką.

P.S. Piję także dlatego, że jestem stara, gruba i brzydka. Ty mówisz, że to jest nieprawda, a ja wiem, że twoja prawda ma bielmo na oczach, albo – jak kto woli – różowe okulary. Zakochani mężczyźni zawsze widzą to, co chcą widzieć. Po co ty mnie kochasz, skoro ja ciebie nie kocham? Po co całe to oszukiwanie?

Chciałeś całej prawdy to ją masz! To już nie tylko fakty, ale Prawda. CAŁA PRAWDA.

To ty jesteś winien, nie ja, wrzeszcząc 7 stycznia 2013 roku:

– Dość tego kłamstwa!

To ty mnie sprowokowałeś. Ty! Ty!...

Siedziałbym cicho i wszystko byłoby jak dotąd. A tak jest, jak jest.

Nie ze mną te numery, Brunner!

Dr Agi Bali

O twórczości Andrzeja Maciejewskiego.

Andrzej Maciejewski wytwarza elementarną pasję fotodokumentu. Przede wszystkim, jako obserwator – człowiek zanurzony wśród łańców zbóż, w obliczu pejzażu: rzadkich brzoź, sosen i zagajnika poszukuje swojej własnej, realnej przestrzeni podziwu – zachwyty nad światłem dnia codziennego, pełnego dnia burzy i słońca, dnia mgły i rześkiego poranku, dnia zmęczonego zmrokiem – innymi słowy – to, co obrazuje nam widok w oku fotokamery i to, co przeżywamy, rzuceni w pierwotny obszar naturalnej inspiracji przyrody.

Gdzieś pojawia się w nas tęsknota za ciszą i za zatrzymaniem tej zadumy i tlenowego szoku w czystym pejzażu, bo go tracimy coraz silniej i bardziej. Przyzwyczajeni do miast – aglomeracji, dużych form budownictwa, często tak bardzo już anonimowego bycia w świecie, jako nierozpoznawalni dla innych i wśród innych osób, ale także często niezrozumiani sami dla siebie, nieświadomi własnego alter ego... Ktoś zatem, kto pokazuje w artystycznej prezentacji, prosty, ufny, nieprzekłamany obraz – dokument naturalnego, poniekąd traconego świata, wydaje się być jedynym świadkiem i obrońcą – twórczym adwokatem – elementarnych, ludzkich – naturalnych, ziemskich wartości. Ktoś, kto potrafi poświęcić cenny czas, wewnętrzne siły i pochylić się nad okiem fotokamery, doświadczając i penetrując we własnej, impresyjnej i plastycznej foto-analizie: nieprzewidywalne zjawiska natury.

Andrzej Maciejewski jest właśnie tym pierwotnym, niemym, a jednak pełnym nadziei świadkiem ulotności osobistych i własnych, unikatowych doznań przyrody. Sam, zatopiony w lesie, polach i grząskim gruncie, na których zostawia dla widza: swoje – ślady fotografii – ślady myślenia chwilą – momentami wyczekiwania - z pytaniem: Co przyniesie kolejny powiew wiatru, zefiru, czy huraganu?... I jak z kolei ułoży się następny element gry?... światła, powietrza, temperatury i samej flory...

Owe optyczne figury powietrznych zjawisk w fotografiach Andrzeja Maciejewskiego są powiększone w obszernych formatach wielu tablic. Często te makroświaty jako formy wizualne są rozbite świetlistą tonią i rozmazaną barwą pryzmatu światła. Gdzieś dochodzimy do malarskich impresji, wrażeń, które rzeczywiście przypominają nam o utraconych widokach, barwach łąki, smaku jagód i malin, i wspomnień, jak: "Zapach Rumianku" – tak, jak słusznie zatytułował swoją wystawę autor. Tym samym dedykuje nam celebrując doświadczenie – wspomnienie i zakorzenie w biologicznej relacji i zadziwiający – bezwarunkowy stosunek – ludzkiego długu wobec natury... Natury, którą jak wiemy – łatwo utracić, zapomnieć... a trudno odzyskać i przywołać ją w jej całym majestacie i boskim pięknie - czego znakomitą próbą są fotograficzne prace Andrzeja Maciejewskiego.

Wystawa Fotografiki "Zapach Rumianku", Salon Sztuki Kreatura, Poznań, marzec 2015.

Poetycki rachunek sumienia

W ubiegłorocznym Turnieju Wierszy o „Pierścień Dąbrówki”, Marek Słomiak wygrał swym tekstem wyróżnienie ufundowane przez Annę Kokot – recenzję z ostatniej książki.

Czy tomik poetycki strategicznie i nieco przebiegle wręczony w bramie Nieba św. Piotrowi, jest rodzajem biletu wstępu kategorii VIP dla twórców, którzy opuścili już świat doczesny? Zdaniem Stefani Fulli Horak, XX-wiecznej filozofki i mistyczki – niekoniecznie. W swych proroczych wizjach i przepowiedniach w książce „Święta Pani” wydanej w roku 1939 w Warszawie zdradziła bowiem pośmiertne miejsce pobytu dusz pokutujących. Kilka słów tekstu poświęciła duszom czystocowym artystów słowa pisanego, którzy swój talent roztrwonili na tworzenie tekstów sprzecznych z nauką Kościoła Katolickiego. Łaską Boga dostrzegła ich bowiem w jednym z Kręgów Czysta – Kręgu Obojętnym. W swych tekstach wyjaśniła, że literaci owi tak długo będą przebywać w tym miejscu odosobnienia, aż ktoś na ziemi nie przejmie ich natchnienia twórczego i nie spożytkuje go na chwałę Boga. Jakże różnym jest to miejsce od pozostałych kręgów dla dusz po śmierci cierpiących – Kręgów Głodu, Lęku, Grozy, Utrapięń.

Zatem tomik poetycki, choć nie otwiera automatycznie bram Nieba, z pewnością może być rodzajem wsparcia w walce o życie wieczne. Dla poety Marka Słomiaka jest on rodzajem przestrzeni słowa, w obrębie której autor bada - godziną po godzinie, dzień po dniu, rok po roku, swoje życie. Przystępując do czytania tomiku poetyckiego twórcy, czytelnik może poczuć się tak, jakby przygotowywał się do spowiedzi – uważnie koncentruje się na rachunku sumienia. Musi stanąć w Prawdzie i przyjrzeć się swoim myślom, słowom, czynkom i postępowaniu. Zdać sprawę ze swoich zaniedbań. Z pokorą, ufnością, żalem za grzechy. Poeta pisze wprost o potrzebie rachunku win wszelakich: *w przedziwnym krajobrazie tkwisz / sumieniem niczym kolek wbity / na amen pacierzem przymiera oraz w przedziwnym sumieniu tkwisz / niczym krajobraz diabelski*. I jeszcze w wierszu bez tytułu: *wybór jednoznaczny / jak rachunek sumienia*. W tekście „List z litanią” pojawia się zaś zdanie: *dłonie w wolność sumienia / wpisująca słowami / błogosławieństwa*. W „Psalmie Jeremiasza” przeczytać można o *milczącym wyrzucie sumienia*.

Zanim jednak czytelnik przygląda się będzie swym winom, musi uważnie przyjrzeć się każdemu z przykazań Dekalogu, pięciu przykazaniom kościelnym oraz siedmiu grzechom głównym. Musi zastanowić się, czy spełnione są wszystkie trzy przesłanki popełnienia grzechu: zgoda woli, świadomość zła, które się czyni i aby był to czyn, sprzeciwiający się prawu Bożemu, a więc czyn zły. By spowiedź była ważna, należy oczywiście wypełnić pięć warunków: przeprowadzić rachunek sumienia, żałować za grzechy, mieć mocne postanowienie poprawy, szczerze się wyspowiadać oraz zadośćuczynić Panu Bogu i bliźniemu. Podmiot liryczny wie, że grzeszyć można słowem, pisze więc

poeta w wierszu: *słowa rzucane jednoznaczne / na poniewierkę bezbożną w czeluściach / miast i wsi*. Twórca rozróżnia w swych utworach słowa pisane wielkimi i małymi literami. Spotkać tam zatem można słowa – miniaturki, słowa karłowate, słowa – giganty, wysokie tak bardzo, jakby poruszały się na cyrkowych szczudłach. Słowa dumnie paradyżące w pochodzie przed naszymi oczyma, jak również te nieśmiałe, wędrujące pomiędzy linijkami wierszy ze spuszczonej ze wstydu powiekami.

Autor wielokrotnie piętnuje także grzech pychy („Psalm Ezechiela”), zdrady („dlaczego”), brak pokory, obłudę, pożądanie, chęć nadmiernego bogacenia się. Krytykuje *środki masowego oblubieństwa* („Witkowi...”). Penitent musi w końcu spowiedzi przeprosić Opatrzność, pisze twórca w tekście „Psalm Ezdrasza”: *za kogo i za ile Ciebie / Boże – muszę przeprosić oraz za ile zbiorów czynności niepoprawnych / i umysłu dziwnego wyboru woli / Ciebie Boże / muszę przeprosić /... / za tych którzy nie wiedzą / co czynią (?)*. Podmiot liryczny czuje, że jego szczery żal, choćby i niedoskonały oraz modlitwa, owe *światelka pacierzy* z tekstu „ucieczka serca”, złagodzą Bożą Sprawiedliwość, ukoją gniew Opatrzności *przeblyskami miłosierdzia* z tekstu „... i czekasz”. Stąd też może i ta pojawiająca się w wierszach nuta optymizmu, czyli nadzieja (jak ta z tekstu bez tytułu, zadedykowanego wnuczce Michalinie, jak również wiersza „drogi spod słońca”). Silnie zaakcentowane zostają tym samym trzy Cnoty Boskie: wiara, nadzieja i miłość – bo tomik poetycki „Psalmy światłości strzegące” Marka Słomiaka przesiąknięty jest tymi elementami. Jego wiersze – psalmy właśnie, jak nazywa je sam autor, czyli liryczne utwory modlitewne o podniosłym charakterze, nasączone są wiarą, przepojone nią, wiara z nich wręcz „kapie” w bizantyjskim zbytku, nadmiarze. A i miłość przytula się nieśmiało do wybranych tekstów – miłość do kobiety, wnuczki, a wreszcie także i tego podejrzanego typka, czyli świata doczesnego. Mimo tych akcentów dobra, autor w wierszu bez tytułu konstatuje z pozorną beznamietnością, podszytą jednak wyraźnym bólem: *miłość na ostatnim miejscu świata / spoczywa na wieczne oczekiwanie / wiara na ostatnim miejscu sumienia / drzy o sens swego przeznaczenia / nadzieja na miejscu ostatnim wdycha*.

Warto zauważyć, że podmiot liryczny wierszy Marka Słomiaka posiadał niezwykłą umiejętność synestezji. Przykładem takiej niezwykłej synestezji jest tekst „drogi spod słońca”. Pojawia się w nim sformułowanie „dotyk głosu”.

„Za te grzechy i za wszystkie zapomniane serdecznie żałuję i chcę się poprawić” – szmer głosu kapłana, pukanie. Czytelnik może wstać z kłęczek, odejść od konfesjonału psalmów Marka Słomiaka w pokoju, z lekkością w sercu. Wstaję i ja, odchodzę od książki autora poruszona, z rumieńcami emocji. Odkładam tomik na półkę w mieszkaniu, trzymam go w zasięgu dłoni. Przyda się do następnego rachunku sumienia. Mam mocne postanowienie poprawy... Podobnie jak poeta, nie chcę trafić po śmierci do grupy pokutujących literatów z Kręgu Obojętnego.

Marek Słomiak: „Psalmy światłości strzegące”, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2013.

Ślady

Idziemy do miejsc, które przecież znamy. Nie do obcych krain, gdzie na cudzoziemców polują, jeśli nie płatni mordercy, to na pewno handlarze czekający na łatwy i wielki zysk. Albo wróżbici o demonicznym uśmiechu czytający z gwiazd, ręki, oczu, a jeszcze bardziej z pełnej sakiewki. Albo też przewoźnicy wyłudający na każdym postoju bezwartościowe drobiazgi. Nie, nie do takich krain idziemy. Wiemy już, dokąd pójść. Zawsze wiedzieliśmy. To tylko zmęczone nogi zatrzymywały się przed kolejnym skrzyżowaniem. To tylko pożądlivy wzrok wypatrywał chłodnych miejsc soczystej zieleni. To tylko zniszczone sandały pozostawały na zawsze w przydrożnym rowie.

Łyk wody. Upalny wiatr. Kurz drogi.

Idziemy do miejsc, które przecież znamy, nie wybierając godziny, pory dnia, ścieżek. To czas i miejsce wybierają nas. Możemy jedynie zmieniać obuwie, chusty i pielgrzymie kije. Reszta jest zagadką, przez którą przebija dawna wiedza.

Prąd rzeki jest ciągle mocny. Z trudem można się przepawić na drugi brzeg. Na dnie czeka jeszcze głęboka warstwa mułu. Trzeba silnie przywierać stopami do gruntu. Iść.

Na brzegu jest odpoczynek. Żółty piach i białe muszle. Ziarenka piasku oblepiają mokre nogi. Wiatr wysusza przemoczony ubiór. Dobrze. Ciepło. Bezpiecznie. Reszta jest zagadką.

Iść. Na białej plaży zostawiać ślady bosych stóp.

Czas

Dokąd odchodzi ten czas? Jeszcze nie tak dawno słońce lata wędrowało po stalowych ścianach skał, ptaki szybowaly nad rozgrzaną ziemią i piliśmy z krystalicznych źródeł chłod wody. Potem jesień zrzuciła pożółkłe liście.

Mijały wschody słońca. Na stole dwanaście wigilijnych dań. Biel śniegu za szybą. Roześmiane usta dzieci. Roześmiane oczy dorosłych. Wspomnienie dzieciństwa.

Przechodziły godziny, dni, miesiące... Na stole wigilijny karp.

Miesiące.

Na stole wielkanocne pisanki.

Lata. Mijały lata. W miasteczku mieszkał stary szewc. Miał zawsze pełne ręce roboty. A to zelówki przybić, a to podeszwę przykleić, czy też modnej paniusi korek do bucika przytwierdzić. Rankiem otwierał warsztat, wieczorem zamykał. Tak dzień w dzień. Jak gdyby robił to od zawsze. W pewnym momencie go zabrakło. Jak gdyby go nigdy nie było.

Mijały stulecia. Narody i mowa. Wojna i pokój. Miasta i wsie. Dokąd odchodzi ten czas? Czy Pan Bóg zbiera go do wielkiego worka i przechowuje w zamkniętym skarbcu? Jeśli jest tak naprawdę – możemy być spokojni: jest więcej, im więcej odeszło.

Gdy zmierzchające niebo przynosi upragniony chłód, a nagły wiatr zwiastuje deszczowe dni, błądzimy wśród ruin odeszłych dawno w zapomnienie królestw. Prastare miasta, co kiedyś legły w gruzach, wystawiają w górę postrzępione kikuty murów. Zapach zmurszałych ścian i zapadające się sklepienia. Stawiając ostrożnie kroki wśród traw i spękanych posadzek wzbijamy tumany kurzu. Domy, cmentarze, gospody, resztki posągów – wszystko w tajemnym śnie; świat, który żyje tylko w sobie, życiem niepowtarzalnym, niezrozumiałym. Głosy ptaków nie zwiastują nowego dnia. Nowy dzień jest tylko dla nas.

Można jeszcze odczytać język ulic, mostów, domów. Jeszcze leżą sprzęty ludzką dłonią uczynione – znaki życia w martwej ciszy. Tylko dla nas.

Popękany mur z niezgrabnie wydrapanym okrętem: łamiące się żagle, żartująca załoga, za burtą wielkie ryby i skrawki ładu w oddali. Tęsknota za daleką krainą, czy zwykły trud połowu ryb? Pytania tylko dla nas, z tylko naszymi odpowiedziami.

Wielka cisza i promienie zachodzącego słońca.

Kawałki żółtej wazy z geometrycznym wzorem i rysunkiem walczących wojsk. Smukła postać gra na rogu i dwa oddziały w równym szyku nacierają na siebie. Świsł strzał, metaliczny dźwięk mieczy. Na okrągłych tarczach mityczne potwory i sylwetki ogromnych ptaków. Jeszcze widać drżący ruch ręki zdobnika, chwilowe zawahanie przy trudnym wzorze i pewne pociągnięcia falistych ornamentów.

Słabe światło księżyca odbija się od podziurawionych kolumn. W oddali blask płonących ognisk.

Powróćmy! I powiedz, że to tak daleko, że nie trzeba mówić, bo przecież nie ma takich słów. I to, że znów pójdziemy – już coraz bardziej oddaleni; białym chmurom powierzając dawną mowę i bieg ludzkich spraw.



Danuta Ewa Dachtera

debiut

Odchodząc

Kiedy coś się kończy
od dawna
i nie masz odwagi
przeciąć

Kiedy zbyt wiele dałaś,
nadzieja wbrew nadziei

Kiedy wiesz -
będziesz żałować

Gdy wreszcie to zrobisz,
bez szans na to czego chciałaś – chcesz...

Otworzą się drzwi
i może odetchniesz szeroką pierś,
żałując tego co pogrzebałaś.

Maria Ciążela

pierwszy kadr

lato usycha na brzegu stawu
ważki ważą leniwie
chwile
każda na wagę
lepiej czarnej kuli
z prawej do lewej
z lewej do prawej
ręki

dziecięce stópki
wyrabiają cierpliwie
błotnistą maź
w słońcu bielą się kaczkę
jak bielizna na sznurku

czarne białe
białe czarne

Zygmunt Dekiert

Obietnica

Na posłaniu nocy
szukam twych uśmiechów
Szeptów pogubionych
bielą prześcieradła

Uśmiechaj się do mnie
Wykrzycz wyznanie
grzmotem wodospadu

Zostaniesz matką
wiersza

Sławomir Krzyśka

Kiedy mgła obejmie mowę
i wróci ciemność

Nie złoży dzień do snu skrzydeł
łza spłynie po otwartych dłoniach

Będziesz wtedy odkrywał
pragnieniem słowa

Martwe stanie się Żywym
i będzie Wieczne

Maciej Porzycki

Przemiana materii

Franz Kafka 1924

Książki
jak treściwy pokarm
potem zbędne
kalorie

pal licho

Kalina Izabela Zioła

Portret

Jackowi Strzeleckiemu

spójrz na mnie w zachwyceniu
jak patrzyli starożytni herosi
na zwiewne cienie boginek

niech węzły mięśni
jak węże oplotą moje ciało
chcę poznać granitową twardość torsu
usłyszeć głośne bicie serca
zanurzyć się w gorącym oddechu

owiń mnie
wszystkimi kolorami tęczy
włosy pomaluj blaskiem księżycy

potem odejdz

a ja zostanę na zawsze
zamknięta w złożonych ramach

nieśmiertelna

Agnieszka Mąkinia

* * *

Przyśnieżyło
sowicie
z góry
widok
ostrzejszy
ścieżki
wyślizgane
plastikiem
biegowe
zaproszenie
mały uśmiech
przykleił się

Do serca

Brygida Mielcarek

Oczekiwanie

Ratujesz umarłe wiersze
Hodujesz w sobie radość
Pytasz siebie z człowieczym strachem
gdy mówią: „z prochu powstałeś i w prochu
się obrócisz”
Kulisz się we sobie im myślisz
podobno wiesz
Jednak jesteś opakowaniem dla duszy
Bo ty – to właśnie twoja dusza
Do tych dwu ciał jak Anioł
przytulone jest ciało

Irena Banaszek-Niedzielska

Bieguny życia

Dla Mamy

Podaj mi ręce
Równino
Słońcem pokrajana
Bajecznie kolorowa
Kolebko
Pachnąca lipami

Być blisko kołysania
Co współbrzmi z chorałem
Muzyką prosto z serca
Z piersi nabrzmiałej

Wpatruję się w Ciebie
Pozwól na serca bicie
Aby zakwitło
Aby wybrzmiało

Przenikają cienie ptaków
Drzewo jabłoni łzawi
W przewlekłej ciszy
Krople pereł waży

Stole wiecznie żywy
Wypełniony dzbanami
Głodna egzystencjo
Czystego wzrastania
Stałego pamiętania

Studnio bez dna
Gołymi rękami wyciągam
Szept i rytm płynący wody
Co na biegunach dźwiga
Twój heroizm
Więc
Zastygam i oddycham
Noc i dzień - dzień i noc

Stefania Pruszyńska

Droga

Gdy życie jest z powrotów
do drzwi milczenia

nie oskarżaj Boga
za dzbany cykuty
i sny z miłości rozdarte
jak gniazda na liściach
ostrokrzewu
płaczącego w skale

Barbara Tylman

Nagroda

- Jest szanowna małżonka? Mam dla niej list – powiedział radosnym głosem listonosz, bo wiedział, że za dostarczenie do rąk własnych zawsze dostanie jakiś grosz.

- Wanda, to do ciebie – gromki głos męża przywołał ją natychmiast do rzeczywistości. Nie spodziewała się żadnego listu. Zerkając na pieczętkę na kopercie, przypomniała sobie, że kiedyś wysłała coś na jakiś konkurs literacki. Nerwowo otworzyła zieloną kopertę, z której wypadło zaproszenie na galę podsumowującą rozstrzygnięcie konkursu. O rany! Trzeba będzie pojechać. Niewiele pozostało czasu. Zaledwie kilka dni. Może więc lepiej wysłać list z jakąś wymówką... Nie wiedziała, jaką nagrodę jej przyznano i czy w ogóle, gdyż na ten temat nie napisano ani słowa. Była jednak tak podekscytowana otrzymaną wiadomością, że o niczym innym nie potrafiła myśleć. Mąż spoglądał na nią ciekawym, co też postanowi. Widział jak bije się z myślami – jechać, czy nie jechać.

Na wyjazd zdecydowała się w ostatniej chwili. Nie miała za grosz pojęcia, dokąd jędzie i kiedy wróci. W razie czego, przygotowała mężowi na drugi dzień trochę obiadu, mówiąc, że gdyby miała wrócić później, to da znać. Z półki w łazience zgarnęła kosmetyki i wraz z innymi drobiazgami wsunęła do torby. Zdecydowała, że pojedzie autobusem PKS, bo to bezpieczniej i wygodniej. Bilet musiała kupić u kierowcy, gdyż akurat w kasie dworcowej była przerwa śniadaniowa. Jadąc przez miasto wpatrywała się w znajome ulice, teraz jakby trochę inne. Miała wrażenie, jakby od niej uciekały. Właśnie za oknem autobusu przesuwały się ostatnie zabudowania, kiedy odczuła znużenie. Sierpniowy upał dawał się solidnie we znaki. Pomimo lekkiego ubioru czuła, jak wszystko klei się do rozgrzanego ciała.

- Oj, chyba ta podróż będzie męcząca – pomyślała, ocierając spocone czoło.

Przed wyjazdem sprawdziła na mapie, dokąd właściwie jędzie. Miejsce, w którym co roku ogłaszany jest konkurs poetycki, to jakieś małe miasteczko. Chcąc utwierdzić się czy to, o czym pisze jest warte zauważenia, wysłała kilka wierszy. I chyba coś w nich było, skoro otrzymała to zaproszenie. A może tylko tak z grzeczności ją zaprosili? Od momentu kiedy przestała pracować, jej świat się trochę skurczył, zmniejszył się. Aby nie gnuśnić, postanowiła coś robić. No i zaczęła tworzyć. Pierwsze nieśmiałe teksty były jakież takie... A tu, nagle zaproszenie. Zapachniało czymś nowym. Sama przed sobą się przyznała, że owszem, miała małe marzenie, aby gdzieś zaistnieć, dać się poznać, spodobać... Puszczając wodze wyobraźni, rysowała atmosferę, jaka panuje na uroczystym wręczaniu nagród. Nigdy nie miała okazji przeżycia czegoś takiego. Z powodu braku czasu nie bywała na żadnych literackich imprezach. Po prostu – praca i dom pochłaniały każdą wolną chwilę. Potem, kiedy przeszła na emeryturę, przesiadując w swoim pokoju, zaczęła przelewać na papier niespełnione marzenia, skrywane uczucia, tajemnice swojego życia... I nagle teraz przydarzyła się oka-

zja, aby znaleźć się pomiędzy ludźmi kultury. Bardziej lub mniej znanymi. W jej wnętrzu coś wyśmiewało się – niby po co tam jędzie. Drugie coś szeptało do ucha, że właśnie to jest ten ważny moment, który być może otwiera nowy rozdział jej życia.

Znużona duchotą panującą w autobusie i ponad dwugodzinną jazdą, niezauważenie przysnęła. Dopiero gdy autobus zatrzymał się na końcowym przystanku, poczuła szarpnięcie. Rozejrzała się i ze zdziwieniem stwierdziła, że wraz z nią wysiadła tylko kobieta z dzieckiem. Reszta jadących od samego początku widocznie wysiadła po drodze. Zabrała torbę i dziękując kierowcy za bezpieczną podróż, wyskoczyła na peron dworca. Tak... to część mojej podróży. Podczas rozmowy telefonicznej z organizatorem spotkania dowiedziała się, że dojazd na miejsce będzie miała zapewniony. Miała tylko dojechać do umówionego wcześniej miejsca. Idąc obcą, wąską uliczką, z ciekawością przyglądała się mijanym domom. Nawet jej się podobało. Cicho, bez jazgotu jaki robią tramwaje, bez gwaru, jakim przepełnione jest wielkie miasto. Chyba dobrze się tu mieszka. Tylko czy jej mąż mógłby także zamieszkać w małym mieście? Nie była tego pewna. Do umówionego spotkania było jeszcze trochę czasu, gdyż autobus miał przyspieszenie. Zielony skwer kuśił dopiero co pomalowanymi ławkami. Usiadła na jednej z nich, wystawiając twarz ku słońcu. Nie była przyzwyczajona do podróży. Popatrzyła na swoje popuchnięte stopy. Tak... Namęczyły się one, nie ma co. Przecież przez wiele lat miała stojącą pracę. Ale pomimo uciążliwości, zawsze do niej szła z chęcią. Kiedy jednak nadarzyła się okazja przejścia na wcześniejszą emeryturę, nie wahała się ani przez chwilę. Przypomniała sobie, że właśnie wtedy zaczęła interesować się poezją (jeśli tak to można nazwać). Coś się w niej wtedy zmieniło. Stała się bardziej wrażliwa, ale jednocześnie mniej ufna. Zamknęła się w sobie, dużo rozmyślała. Zwłaszcza nad przeszłością.



Zegar na kościelnej wieży wybił szesnastą. Prawie równocześnie usłyszała klakson samochodu. Kierowca, całkiem miły młody człowiek, przez dwadzieścia minut jazdy zabawiał ją rozmową. Zarówno z jej, jak i z jego strony padały pytania i odpowiedzi tak swobodne, jakby znali się do dawna. W docelowym miejscu nie była już nieśmiałą, zagubioną kobietą, oszołomioną nową sytuacją. Cieszyła się, że niebawem pozna ciekawych ludzi. Ludzi, dla których poezja jest sprawą codzienną. W różnym wieku, o różnym etosie społecznym i poglądach. Którzy mają już pewien dorobek twórczy, ale i tacy, którzy jak ona wstępują na nową drogę życia, kariery. Sala, w której miała rozpocząć się uroczystość wręczenia nagród, wypełniła się zaproszonymi gośćmi, ale również miejscowymi. Dla nich impreza tego typu miała ogromne znaczenie. Zajmując miejsce w jednym z ostatnich rzędów, siedziała jak zamurowana. Wciąż nachodziły ją niepewności – po co tu przyjechała. Z uwagą słuchała i przypatrywała się osobom odbierającym nagrody. I ponownie w myślach powtórzyła pytanie – po co tu przyjechałam? W pewnym momencie usłyszała swoje nazwisko. Obok niej stanęła kobieta, prawdopodobnie jedna z organizatorek i uśmiechając się wręczyła dwie przewiązane zieloną wstążką książki. Serdecznie ściskając powiedziała kilka ciepłych słów.

- To dla pani. Wyróżnione wiersze są w tej antologii – powiedziała. Dziękujemy za udział w konkursie i zachęcamy do wzięcia udziału w następnej edycji. Jest nam miło panią poznać. A teraz zapraszamy do wspólnego zdjęcia i oczywiście na poczęstunek.

Wanda zdębiała. Choć nie przyznano jej żadnej nagrody, dwa wiersze wyróżniono, umieszczając w antologii. W pięknie wydanej książce. Trzymając pakiecik w dłoni, poczuła lekkie drżenie palców. To ze wzruszenia. Jej wiersze będą czytane przez innych ludzi... Nie wierzyła. Ona, kobieta nie pierwszej już młodości radowała się, jakby zdobyła jakąś ważną nagrodę. Lampka szampana i dobry obiad sprawiły, że nawiązały się nowe kontakty, znajomości. Cieszyła się, że znalazła się wśród ludzi, jak to nazwała – z wyższej półki. Wrażliwych i ... chyba trochę zakręconych. Czy oni wszyscy są tacy, czy jej się tylko tak wydaje? Może to było pierwsze wrażenie...

Zbliżała się dziewiętnasta. Szła powoli w stronę kolejowego dworca. Powiedziano jej, że może być spokojna, bo na pewno zdąży na pociąg o dwudziestą. Na miejscu okazało się, że jedyny o tej porze pociąg przyjedzie dopiero za dwie godziny. No, ładnie. Dworzec zamknięty na cztery spusty, żadnej poczekalni, nawet ławki. Zbliżała się ciemność i wszechobecna pustka. Zmęczona, usiadła na peronie podkuliwszy nogi. Wierzyć jej się nie chciało, że jest w środku Europy. Z nagrodą pod pachą przesiadła czas oczekiwania, rozmyślając, co tam w domu. Mąż zapewne już dawno śpi. Albo ogląda te swoje filmy akcji. Kiedy tak rozmyślała, ze stanu otępienia wyrwało ją sapanie lokomotywy. Ciągnęła zaledwie trzy wagony. Miarowy stukot kół usiłował wymusić na Wandzie sen, lecz całą siłą starała się zapanować nad zmęczeniem. Przecież czekała ją jeszcze przesiadka i godzinne czekanie w dusznej i śmierdzącej poczekalni. W nocy, na wszystkich ławkach rozlokowują się bezdomni. A potem dalsza podróż. Do rodzinnego miasta pociąg przyjechał po drugiej w nocy. Już po wyjściu na peron poczuła, że jest w domu. Dobrze znała ciepło swojego miasta. Miała uczucie, że bierze ją

w ramiona. Nocna cisza i pustka panująca na ulicach – nie wierzyła, że tak może być.

W dzień panował zawsze wielki gwar. Tłum ludzi przelewał się nieustannie jak wielka, rwąca rzeka. Wsiadając do taksówki, znowu natrafiła na sympatycznego kierowcę. Albo miała wyjątkowe szczęście, albo jej się to tylko wydawało.

Przekręcając klucz w zamku własnego mieszkania, ponownie spojrzała na zegarek. To już trzecia. Mąż spał smacznie i nie miała sumienia go obudzić. Opowie mu wszystko, kiedy wstanie. Przecież jest niedziela i można sobie pozwolić na leniuchowanie. Zachowując się cicho jak mysz kościelna, rozczesała włosy, zmyła makijaż. Orzeźwiający prysznicem splukała zmęczenie podróży. Celowo nie nastawiła budzika. Pod poduszkę wsunęła przywiezioną ze sobą książkę. W końcu, to jej pierwsza nagroda. Bardzo ważna. Jakby nie była tylko książką, lecz czymś bardzo cennym, na przykład statuetką, czy nagrodą pieniężną. Zostawiając za sobą miniony dzień, zasnęła bogatsza o nowe doświadczenie. Zerwała się usłyszawszy głos męża. Stał przy tapczanie, już ubrany i ogolony – no, pokaż mi wreszcie tę swoją nagrodę. Jestem jej bardzo ciekawy.

Wanda otworzyła oczy i szepnęła: Ale to jest tylko książka – lecz zaraz się poprawiła – wiesz, to jest książka w której są moje wiersze. Moje pierwsze utwory, które ujrzały świat i które będą czytali inni ludzie. Nie wierzę...

Ja chyba śnię...

Danuta Bartosz

Nasza enklawa

W ogrodzie
 fotel
 książka
 zapach ziemi
 Pyszniące się bzy
 oplotkowane
 w ptasim śpiewie

Słońce zagląda
 przez dom sąsiada
 Podaję kawę
 Czytasz gazetę

Słuchamy
 nowin ze świata
 Złagodniały twoim głosem

Gdziekolwiek jesteś
 widzę cię
 ogromem naszego
 małego świata
 Z dala
 od ulic
 gdzie przyczajone zło
 otwiera usta

Jerzy Beniamin Zimny

Wspomnienie o Marku Obarskim

Wczoraj, 22 maja minęła osiemnasta rocznica śmierci Marka Obarskiego – poety, prozajka, tłumacza, dziennikarza. Żył okrągłe pół wieku, jakby połowę swojego życia, jeśli przyjąć zasadę, że poeta żyje szybciej, a nawet dokłada nieprzespiane noce. Marek żył tak samo jak pisał, więc według własnego prawa, niekiedy wbrew sobie, kiedy tego wymagało życie zawodowe i rodzinne, zwłaszcza po roku dziewięćdziesiątym, kiedy to zniknęły z rynku instytucje, w których zarabiał na chleb. Pojawiły się nowe, bardziej wyrafinowane, ale Marek i z tym sobie poradził, pracował jednak ponad siły w roli tłumacza dla kilku wydawnictw komercyjnych. Pamiętam nasze spotkania na neutralnym terenie, opowiadał jak wygląda każdy jego dzień i że nie zawsze to co się robi, można nazwać pasją. Kiedy wpadał mu do tłumaczenia jakiś tom poezji – odzywał, nabierał przekonania, że jest jeszcze komuś potrzebny, że w nowych warunkach da się żyć?

Marka poznałem w połowie lat siedemdziesiątych w redakcji poznańskiego Nurtu. Pracował tam, prowadząc swój dział związany z poezją i recenzjami. Mieliliśmy stały kontakt roboczy, były to ciekawe czasy, dużo się działo w literaturze, a Marek okrzepł po okresie bujnej młodości w szeregach ludzi wywołanych kulturowo. Jak większość młodych wtedy ulegał modzie i trendom przychodzącym z Zachodu mimo cenzury i jawnego zwalczania tego, co nasiąknięte było kapitalizmem.

W połowie lat dziewięćdziesiątych spotkaliśmy się kilka razy u mnie, po wyprowadzce z Kuźnicznej, sąsiedztwa Witka Różańskiego – na Świerczewo. Marek chętnie zahaczał o mój adres i anonsował swoją rychłą przeprowadzkę na Winogrody. Byłem u niego z żoną na tzw. parapetówce, kupiliśmy jakiś przedmiot poznańskim zwyczajem do nowego mieszkania, pokropiliśmy, aby nie spadał tynk, rozważając dalsze losy polskiej literatury w warunkach wolnego rynku. Krótko potem dowiedziałem się o jego nagłej śmierci.

Marek nie doczekał się faktu podsumowania własnej twórczości. Jak dotąd niewiele się ukazało na jego temat. Nie był za życia poetą łatwym w sensie percepcji, jednak jego książki krążą wśród czytelników. Od czasu do czasu nazwisko Obarski pojawia się przy różnych okazjach, kiedy jest mowa o poetach przeklętych. Tak, Marek należy już do „Gwiezdnego Szlaku” – życiopisanie mu się przypisuje, jako udział w tym nurcie, obok kolegów na czele ze Stachurą i Brunem. W tym przeświadczeniu dzisiaj zapalam symboliczny znicz, mając nadzieję, że pragnienia kolegi zostaną spełnione i dokończy to, co zaczął, ale już w nowym wcieleniu. Egzystencja życia w śmierci, to poetyckie credo Marka Obarskiego. W tomie poezji „Kwiat płodu” wiersz „Kości i ciało” otwierający tom, przywołuje zwodnicze synonimy życia i śmierci: ciało–śmierć, kości–życie? Nie są to bynajmniej rekwiizyty poetyckie. Utożsamia się z nimi podmiot liryczny rozdarty na ja – życie subiektywne, ja – obiektywna

śmierć. Typowe odwrócenie pojęć tak częste u Obarskiego. Autor z zadziwiającą precyzją wnika w niezdefiniowane obszary genezy naszego bytu. Próbuje je określić. Wszystko według niego jest ważne, jeśli można się tym posłużyć w definiowaniu zjawisk. W świadomości podmiotu wszystko jest zmaterializowane: „kości”, które się zrastają – „ciało świadomości”, a więc – reinkarnacja, lecz znów w odwróceniu pojęcie powstawania życia. Według Obarskiego załączkiem życia jest jego pierwowzór istniejący obiektywnie, przygotowany do bytu jedynie ciałem. Śmierć jest aktem twórczym, podczas którego świadomość ulega zmaterializowaniu. To jest właśnie „kwiat płodu” z ukształtowanym rdzeniem świadomości, wokół której rozwija się doskonalsze ciało.

Genezy ludzkiego bytu należy szukać nie w materii, ale w świadomości: pełnym wyzwoleniu – doskonałości. Proces ten ma swój koniec u progu „widnokregu”, który jest nie tylko początkiem wyzwolenia, ale także „kresem bezdomności”, bowiem ciało nigdy nie będzie tożsame z otaczającą je rzeczywistością, lecz wyłącznie świadomość, która tę rzeczywistość określa i bezustannie kształtuje.

Lektura: „Kwiatu płodu” i całej poezji Obarskiego nawet wytrawnemu czytelnikowi nie przychodzi łatwo. Tworzywo, którym posługuje się poeta tylko z pozoru jest proste. Bogactwo przyrody, której Obarski jest wnikliwym obserwatorem, to tylko sceneria towarzysząca zjawiskom głębokiej dramaturgii naszego bytu. U jego podstaw usadowił się podmiot tej poezji. Bynajmniej nie w pozycji wyczekującej. Polemizuje więc z wszystkim, co dwuznaczne lub wątpliwe, sięga głębiej niż sprawdzalne, nie pomija niczego, co może mieć związek z nim samym. To już nie poezja, to obsesja z wynaturzonej pasji, która prędzej czy później stanie się mitem, mitem Obarskiego. Tymczasem – jest swoistym dokumentem świadczącym o istnieniu w przeszłości pewnych zjawisk, które uległy przekształceniu, lub zupełnie zanikły: dualizm w wierzeniach pogan: Bóg o dwóch obliczach – nocy i dnia. To interesujące. Znajdujemy w „Kwiecie płodu” takie stwierdzenie odkrywcze:(...) tropiłem o świtanu, pierwotną gwiazdę, graniczne ciało widnokregu. „Graniczne ciało” – może jest to ciało astralne, albo materialny twór świadomości z pogranicza życia i śmierci – początek procesu reinkarnacji? W pierwotnym wcieleniu? Gdyby tak było, nasuwa się teza o wcześniejszym jej początku, a jeśli tak, to można mieć podejrzenie fuzji obu wcieleń jeszcze za żywota lub podczas aktu śmierci? Brzmi to nieprawdopodobnie. Obarski prowokuje przedmiot swoich dociekań i zdąża jak sądzę do prób empirycznych, poznawczych eksperymentując na samym sobie? Cała jego twórczość jest tajemnicza, z pogranicza fikcji i rzeczywistości, przy czym tropy rustykalne świadczą o wpływie magii i guseł na jego osobowość. No i przyroda, poeta twierdzi, że w niej należy szukać odpowiedzi na wszystkie pytania o początki życia, a także kontynuacji życia po śmierci. Nieważne, w jakiej postaci?

Poezji Obarskiego nie da się ująć w żadne konwencjonalne ramy. Nie kreuje jej codzienność. Podmiot – trudny do określenia, bez oblicza jakby odkrywa, a nawet stwarza obszary obcej cywilizacji, posługując się stanem naszej świadomości, aby wszystko było zrozumiałe. „Obca” cywilizacja może być początkiem każdego z nas i to nie tylko w ujęciu historycznym. Wszystko dzieje się w przestrzeni, a czas niekoniecznie musi być wyznacznikiem naszej obecności? Funkcje te pełni nasza świadomo-

mość. A więc, im wyższy stan świadomości, tym więcej pytań bez odpowiedzi, ale więcej wniosków użytecznych, innymi słowy wyobraźnia jest w stanie ogarnąć to, czego nie jest w stanie pojąć świadomość, wnikanie w struktury podświadomości wymagają całkowitego wyłączenia lub w znacznym stopniu ograniczenia funkcji świadomości. Jedna i druga są jednak niepodzielne, więc Obarski nie daje odpowiedzi, tylko jak wytrawny badacz drąży tematy egzystencjalne w powiązaniu z duchem.

Świat tych wierszy - martwy i niedostępny, w którym jednak wszystko żyje w pełnej symbiozie - istnieje. Tylko wiedza o nim jest na tyle skąpa, że wyobraźnia podmiotu przewartościowuje jego realia. Ale czy tylko z tego powodu musi być nierealny? Obarski odpowiada nam nie udziela. Sami musimy ją znaleźć. Nie doszło więc do promocji bohatera tych wierszy, ani w przeszłości ani obecnie. Odosobniony, może wiarygodny, ale hermetycznie samotny - grawituje ku prawdzie, w gruncie rzeczy jest bardziej od niej odległy w swojej kreacji zawężonego świata. Sam zresztą się do tego przyznał:(...) Stałem się, jestem ziemią i widnokręgiem, który siebie oddala, przybliża (...)

Odkrycia przybliżają prawdę, wzniecają nowe wątpliwości. Na rozwiązanie ich nie wystarczy czasu. Bohater Obarskiego przekonywująco inspiruje do wyjścia poza stereotyp zachowawczej świadomości. Stereotyp, bo świadomość wprawdzie jest podłożem wyobraźni, ale nic ponadto, dopiero wyobraźnia będąc podłożem podświadomości czyni z człowieka coś więcej aniżeli twór materialny zdolny do myślenia. Tę cechę Obarski posiadał w najwyższym stopniu, czego wyrazem jest jego twórczość bez wyjątku. Szkoda, że tak wcześnie poeta dopiął swego, porzucając swoje doczesne wcielenie. Siła wyższa, ta sama siła, której dociekał i doświadczył w dniu 22 maja 1997 roku, kiedy to jego serce przestało bić.

Marek Słomiak

* * *

codziennie rozlewasz swoją rzekę wspomnień
za utraconym związkiem
walki i męczeństwa z napotkanym mężczyzną
walki i nadziei kruchych z pierwszą lepszą
kobietą

zdążasz poprzez siebie w świat zamkniętych
wiadomości z pierwszej ręki
w stan podniecenia od niechcenia
w skrajność kolejnych mitów
wydobytających wszędobylską obłudę
z codzienności

- - w codzienność

wlewasz rzekę bezmyślności rozmów
niczym bombonierkę kiczowatą i nieskładną
wątpliwości doczesnych pragnień

człowieczych

pozostających wiecznie w akcie rozterek
wśród zdrad i nieszczęść kredowego koła
początku i końca

tak samo beznadziejnych i sennych jak

bogactwo

skrytych znaków z pieczęcią nietrwałego ciała
związków z wszelką niewiadomą prawdy - -

Jerzy Grupiński

PROTOKÓŁ
KULTURALNY
Nr 53/2015

Ewangelia według Marka

pamięci Marka Obarskiego

Jeszcze śnieg
jeszcze wysoka przedwiosny woda
a już prowadzi nad rzekę
zapach mokrych traw
i ostry krzyk wbitej na promień
roztrzepotanej pustułki
--Twój ptak

Tam
gdzie buchtowisko dzików
odnajdzie się w lisiej norze
skradziony kielich i hostia
Słomiany Olbrzym i Skrzydlica
zbudują leśny ołtarz
Będzie pełnia
zacznie się noc jaskółcza
Wargi dziewczęce znajdują
cieniste podbrzusze Bułanka
Zielarka i ropucha
odmówią wspak słowa
diabelski pacierz
Zapełni się chlebowa studnia

Nagle ptak skrzydła złoży
i pustułka
jak Twoje zielone serce
spadnie na ostrza traw

Wronki, maj 1999

Mariola Kalicka

U ślubnego świadka

Potok, pogodne życie
wypracowany każdy ruch
sztuka prawie udana
smakiem podkuta

Mówisz i dziwisz się,
że ładne wszystko,
że kalosze w różu księżniczki
i dom z komnatami

Suma minut smakowitych
głową rozważanych spacerów
obłoki nad
mozolna myśl pod...

Ciąg dalszy,
nawyk popchnął tryby
te nabrały mocy
dzień w dzień toczysz wątek

wartość dni
- możesz zamknąć oczy

„Protokół” w Salonie „Poznania”

W dniu 28 października 2014 roku w reprezentacyjnym Salonie Wydawnictwa Miejskiego „Poznania” przy pl. Wolności odbyła się promocja 50 numeru „Protokołu Kulturalnego”. Prezentowali się autorzy z kręgu tego kwartalnika, jedynego od lat pisma literackiego w Poznaniu. Imprezę prowadziła z wdziękiem poznańska poetka Edyta Kulczak, autorka niedawno wydanego tomiku „Kołysze się w tobie huśtawka”. Mariola Kalicka zaprezentowała cykl plakiet i dysków ceramicznych poświęconych pamięci zmarłego poznańskiego poety – Tadeusza Stirmiera. Omir Socha obdarował nas poetyckim recitalem jakby wyjętym ze slamu, wykonanym przy akompaniamencie gitary. Poezję śpiewaną wykonywał Tomasz Kapitańczyk. Przepytywano i Jerzego Grupińskiego na okoliczność czasu minionego, inicjatyw edytorskich w Klubie i pism, pismek – protoplastów „Protokołu”.

Prezentowano także plakat pamiątkowy wykonany przez Tadeusza Wyrwę-Krzyżańskiego na II Ogólnopolski Mityng Poetów i Krytyków 11 października 1997 roku. Praca ta dokumentuje krąg osób (także i tych, które już wtedy odeszły) współtworzących środowisko poznańskiego Klubu Literackiego w „Zamku”. Na plakacie oglądamy twarze: Jerzego Szatkowskiego (z brodą), Ryszarda Milczewskiego-Bruno, Stanisława Barańczaka, Wincentego Różańskiego, Muzy, Jerzego Grupińskiego, Janusza Porzyckiego, Tomasza Felmanna, Sergiusza Sternę-Wachowiaka, Ireny Szelągiewicz-Ellenikos, Stanisława Piskora, Edwarda Stachury, Andrzeja Babińskiego (w aureoli), Andrzeja Ogrodowczyka, Marka Kośmidra (z rogami), Katarzyny Michalewskiej, Edwarda Balcerzana (w profesorskich sobolach), Barbary Lempki, Kazimierza Rafalika, Barbary Stawickiej, Marka Obarskiego, Grażyny Banaszkiewicz, Andrzeja Mendyka, Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego, Edwarda Popławskiego oraz Włodzimierza Marczewskiego. Ale wiadomo, diabeł tkwi w szczegółach. Jedną z postaci, wykonującą kuglarską sztuczkę, ma sześć zamiast pięciu palców. Dlaczego? O tym wie tylko Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, zapewne nie ma tu pomyłki.

Przypomniano najciekawsze numery kwartalnika, poświęcone między innymi Günterowi Grassowi, Horstowi Bienkowi, Franciszkowi Starowieyskiemu, Salvadorowi Dali oraz te, które prezentowały twórczość Marioli Kalickiej. Także nazwiska znanych pisarzy publikujących w „Protokole” – Julię Hartwig, Bogusławę Latawiec, o. Wacława Oszajcę, Egona Naganowskiego, o. Józefa M. Bocheńskiego, Mariana Grześcaka, Krzysztofa Kuczkowskiego, Sergiusza Sternę-Wachowiaka. Spośród młodszych publikowali w „Protokole” między innymi: Roman Honet, Karol Maliszewski, Maciej Gierszewski, Radosław Wiśniewski, Marcin Świetlicki, Józef Baran.

Na prezentację 50. „Protokołu” nie zdążyła laurka pióra Zbigniewa Kresowatego. Oto więc fragmenty przesłanego tekstu:

Z tym niezwykłym czasopiśmie zacząłem swoje kontakty od 90 roku. To niekwestiono-

wany fenomen, że Jerzy Grupiński tyle lat prowadzi nie tylko Klub, który założył w roku 1970, ale i czasopismo „Protokół Kulturalny”. Kreuje i promuje pisarzy, a jak zjawiają się jakieś zagrożenia, szybko znajduje na nie antidotum, że wspomnę choćby o nowej od roku 2005 siedzibie Klubu Literackiego w Piątkowskim Centrum Kultury. Cóż, czasy takie, ekonomia wypiera sztukę i trzeba było przegrupować się i wyjść z Zamku, gdzie ulokowana została przecież cała 35-letnia bardzo ciekawa historia z legendarnymi osobowościami, to tam wydano almanachy literackie, tomiki, arkusze, tu odbyło się multum spotkań, z jakich byłby dumny w Polsce „zamordyzm”, poeci bardzo zdolni i utalentowani z Nowej Fali nie mogli drukować, potrzebne zawsze było miejsce integracji, potrzebne były druki, choćby w tzw. „drugim obiegu” i to tutaj w Klubie Literackim znaleźli swoje miejsce poeci tzw. „czarnego łańcucha” – od Stachury, Bruna Milczewskiego, Babińskiego, po innych, inaczej ambitnych... którzy podjęli się oddać żywot za słowo. Spotykali się wszyscy z pasją w Sali Kominkowej na Zamku w Poznaniu, to tutaj przeczekali następni... stali się poetami cichymi jak np. wybitny Jerzy Szatkowski. W odzewie na cenzurę powstała awangarda polska. Przyszły pokomunistyczne transformacje ustrojowe – zmieniło się wiele, także w kreacji literackiej. A Jerzy Grupiński trwa z poetami w swoim Klubie Literackim. W nowej, od 2005 roku siedzibie Klubu – „Dąbrówce”, miałem i ja tutaj w przeszłości spotkania z pokazem ikon. Z wielką przyjemnością zawsze przyjeżdżam, z atencją piszę i rysuję dla „Protokołu”. Życzę dalszych 50. numerów. Ściskam Wam dłonie – Zbyszek Kresowaty.



Monika Mińska, Radomir Miński

Marych z Chwaliszewa

Studium przypadku Mariana Karwackiego, poznańskiego poety występującego pod pseudonimem Marych z Chwaliszewa, dostarcza materiałów, które trudno poddać jednoznacznej ocenie. Biografia poety ulicy, jak określono go w reportażu radiowym, wymyka się próbie zaklasyfikowania jego sytuacji jako takiej czy innej postaci wykluczenia społecznego (bezdomności, bezrobocia czy ubóstwa), stanowiąc raczej ich kompleks.

Analizując materiały poświęcone Marychowi z Chwaliszewa wręcz trudno oprzeć się wrażeniu, że świadomie manewruje on między tymi tożsamościowymi biegunami, poszukując miejsca w świecie, który dawno już przeminął – na Chwaliszewie, czy szerzej w Poznaniu swoich dziecięcych lat. Zbyt dumny, aby być bezdomnym (często odwołuje się do swoich arystokratycznych korzeni) oraz zanadto zaradny jak na ubożego poetę i stereotypowego klienta pomocy społecznej – Marych z Chwaliszewa wydaje się być rozdarty między „salony” literackie, na których – jak sam czuje – powinno być jego miejsce, a instytucje wsparcia socjalnego odwiedzane przez najuboższych, które są dla niego zarówno zapleczem egzystencji, jak i swoistą przepustką do upragnionego świata literackiego. Stanowią one, oprócz folkloru Chwaliszewa oraz miłości, bezcenne źródło poetyckiej weny.

Jak mówi sam poeta, w zasadzie powinien być dumny z tego, że po tylu latach udało mu się wyjść z niezawinionej bezdomności oraz z faktu, że osiągnął sukces literacki. Należy podkreślić, że w 2013 został wydany *Poznański Informator Poetycki* sfinansowany przez Urząd Miasta Poznania, gdzie Marian Karwacki został wymieniony wśród takich znamienitości jak: Klemens Janicki, Cyprian Kamil Norwid, Juliusz Słowacki oraz Adam Mickiewicz. Powinien zatem uchodzić za człowieka sukcesu. Jednak on sam twierdzi, że jest człowiekiem przegrany, gdyż jego celem życiowym nie był taki czy inny sukces zawodowy, ale założenie rodziny, której nie zabrakłoby w najtrudniejszych chwilach. Na tym polu przegrał a poczucie życiowej klęski potęguje świadomość, że taki cel jest już nieosiągalny. W związku z tym pozostała mu tylko walka, jak sam to określa, z feudalizmem urzędniczym – walka, którą porównuje on do walki Don Kichota z wiatrakami.

Monika Mińska, Radomir Miński: Studium człowieka marginesu w oparciu o biografię poety ulicy – Marycha z Chwaliszewa. [W:] Życie na skraju – marginesy społeczne wielkiego miasta. Bittner B., Galor Z., Kalinowski S. (red.). Societas Pars Mundi Bielefeld 2014.

Dziękujemy autorom i wydawnictwu za możliwość przedruku.

P.S. Marych z Chwaliszewa od lat nawiązujący nasz Klub Literacki zajął III miejsce (głosowanie publiczności) w słamie poetyckim prowadzonym przez Macieja Mikulewicza i Romana Franczyka w dniu 22 maja 2015, w ramach imprez VII festiwalu „Poznań Poetów”.

Krystyna Wojciech-Ratajczak

* * *

Zmieniasz ciało moje
W plaster miodu
Wlizujesz po pępek
Palce moje rozkołysały
Twoje serce
Ultramaryna
Z jasną czerwienią
Obrastają moje stopy
Zastygam w łuku ciała
Z napiętą cięciwą
Marzenia
Otworzysz mnie
Choćby jedną sylabą

Stanisław Chutkowski

Zjawiskowa

zapachniało powietrze
rozgrzała ciekawość
i przystanęły rozpromienione oczy

schodziła po schodach
jak w Hollywood

boska
piękniejsza od aniołów

zajaśniały siwe myśli
przecież ona śpi obok, przez ścianę
dzieli nas tylko dwanaście centymetrów

Ewa Moskalik

Bez słów

Słońce praży
cień mi przynosisz.

Deszcz zacina
chmury rozganasz.

Wicher wieje
wicher uciszasz.

Noc nadchodzi
gwiazdy zapalam.

Tjutek Tao

Leżę w namiocie u stóp ozu w Muddus, w Laponii na progu lata. Nic tu po mnie. Świat Muddus żyje swym życiem, na które składają się miliardy zapalających się i gasnących żyć indywidualnych, maleńkich i większych. Wszystko to w trwaniu i przebiegach czterech żywiołów. Kąpią, płyną i parują wody. Szumią wiatry. Wypiętrzają się kłębiaste chmury i krzeszą ognie błyskawic, powietrze drży od odległych grzmotów. Jeszcze jeden dzień Ziemi Muddus, która teraz akurat taka, w tej chwili, a były chwile inne nie do poznania - pod lodem, pod tropikalnym niebem, Bóg wie gdzie jeszcze w ramach historii planety Ziemi. Czy był Muddus przed Ziemią? W wybuchach gwiazd, które dały początek jego minerałom. W Prawybuchu, jako drobniotka osobliwość?...

Leżę, a wokół toczy się i trwa ten zbiorowy byt. Rozrastają się fraktale plech porostów i chmur kłębiastych. Żuczki zbierają się na hubach powalnego pnia brzozy i jest to w ich świecie równie ważne, jak gdzieś tam w Normandii spotkanie przywódców politycznych w siedemdziesiąt rocznicę działań w ramach ich wojny, o której nic tu nie wie. Dla milionów jętek jest to D-day, w którym zatańczą, złożą jaja i zgina, by przedłużyć trwanie swego świata.

Leżę i piszę zdanie za zdaniem, w namiocie jak w nawiasie, w świecie bez słów. W świecie, którego kwietne ogrody nie wymagają mej pracy. Jeśli zbieram młode liście kilku gatunków roślin na herbatę, to w pojęciu Muddus czynię to jak ekstrawagancki łós. Z łosiem niestety mnie mylą przeziębione duże komary i nieliczne świeżo przeobrażone meszki. Krew jest z tego świata, pisanie - nie. W Świecie Muddus - leżąc i pisząc - nie działałam. Muddus ma się dobrze, gdy nie działałam. Pozwala mi zamknąć oczy i być, słuchając uderzeń kropli deszczu o tropik i grzmotów z oddali. Być grzmotem i kroplami. Po Drodze...



Haczyk Chaczyka

Gdzie jest haczyk w „nieortograficznym” Chaczyku? W jego samowłasnej i trudnej do podrobienia twórczości plastycznej. A precyzyjniej: w dziełach graficznych, gdzie prym wiedzie oryginalna kreska. Ona dominuje w jego pracach, choć twórca ten nie stroni od używania barwnych plam - co widoczne choćby w zdarzających się kolażach. Jednak dla mnie najbardziej poruszające są prace czarno-białe, czyste grafiki. Z redukcjami linii, powściągliwością rysunku i deformacją figuralną.

Marka Chaczyka odkryłem dla siebie lata świetlne temu, jeszcze w poprzedniej formacji ustrojowej, trafiając na jego prace pomieszczone w „Literaturze”. Mocno mnie wówczas zaciękały. I gdy zdarzyło się, że los skrzyżował nasze ścieżki już w obecnym stuleciu, poświęciłem cały numer „Latarni Morskiej” [3 (7) 2007] jego twórczości (do każdego wydania kwartalnika dobieierałem artystę, którego prace dopełniały zawartość literacką pisma - łącznie z barwnym dodatkiem wewnątrz zeszytu). Zauważył wtedy w mikroeseju „Chaczyk, czyli świat pod kreską” Jacek Syski m.in.: *Jego osobliwością jest redukcja kształtu i sensu do najprostszej formy, którą ostatecznie często staje się u niego już tylko pojedyncza linia czy kreska jako taka - lecz linia i kreska jakże pełne wyrazu.*

Bez wątpienia twórczość plastyczna M. Chaczyka, niepowtarzalna i wymagająca od odbiorcy estetycznego wyczulenia na wyzwolenie się z miałkiej powszedniości grafiki współczesnej, ma swoje znaczące miejsce w sztuce. I - ja sędzę - pozostanie na długo (może na zawsze) w rodzimej, szeroko pojętej kulturze. Jako zdarzenie zjawiskowe, rzadkiej urody.

W numerze wykorzystano grafiki Marka Chaczyka.

Marek Chaczyk, urodzony w 1958 roku w Warszawie. Uprawia twórczość w zakresie rysunku, grafiki prasowej i książkowej oraz plakatu. Dotychczas miał 16 wystaw indywidualnych, między innymi w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Uczestniczył w kilkudziesięciu prezentacjach zbiorowych w kraju i za granicą. Jego prace były ekspozowane w stołecznej Zachęcie, Muzeum Kinematografii w Łodzi, Muzeum Karykatury w Warszawie, a także wielokrotnie w Muzeum Plakatu w Wilanowie.

PROTOKÓŁ kulturalny

Wydawca - Klub Literacki „Dąbrówka” - Piątkowskie Centrum Kultury
Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej,
os. Bolesława Chrobrego 117, 60-681 Poznań
Redaguje: Jerzy Grupiński
tel. 61 833 04 83
e-mail jerzygrupinski@gmail.com
korekta - Jolanta Szwarz
przygotowanie do druku - Stanisław Szwarz
„Protokół” dostępny także na Facebooku oraz stronie:

<http://poecipolscy.pl/proza/protokol-kulturalny/>

Redakcja zastrzega sobie możliwość skracania nadesłanych materiałów oraz ew. zmian tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.